O ŻYCIU
I
DZIEŁACH
ADAMA MICKIEWICZA

przez

KONRADA DRZEWIECKIEGO

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAN — WILNO — ZAKOPANE.

OMYŁKI DRUKU.

Na str.	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być*
5	od góry 10	1788	1798
30	„ dołu 2	działek	dziatek
49	„ góry 2	niz	niż
53	„ dołu 11	rósne	różne
54	„ „ 6	blizko	blisko
56	„ góry 14	cślepila	oślepiła
67	„ „ 3	w	z
69	„ „ 13	ślizką	śliską
70	„ „ 7	gienjusz	genjusz
103	„ „ 14	zmartwychstanie	zmartwychwstanie
103	„ „ 3	zmartwychstanie	zmartwychwstanie

O ŻYCIU
I
DZIEŁACH
ADAMA MICKIEWICZA

przez

KONRADA DRZEWIECKIEGO

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW - LUBLIN—ŁÓDŹ
POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE

SKŁADY GŁÓWNE:

„The Polish Book Imp. Co., Inc.“ — New-York.
„Księgarnia Polska na Śląsku, Sp. Akc.“ — Katowice.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

Trzeba było w roku 1901 specjalnych starań, żeby książeczkę tę przeprowadzić pod czerwonym ołówkiem rosyjskiego cenzora.

Posiadała trzy „rekomendacje" niebezpieczne. Wydawnictwa podejmował się Mieczysław B r z e z i ń s k i *nieraz karany a zawsze podejrzewany „przestępca państwowy", wielki budowniczy naszej oświaty ludowej; była przeznaczona dla szerokich warstw demokratycznych i wreszcie za temat miała dzieła Mickiewicza.*

Czy mogło być coś bardziej nielojalnego w oczach cenzury?

Bez szczególnych „starań" całkiemby się nie ukazała; w tej postaci jak się po cenzurze znalazła, rozeszła się w kilkunastu tysiącach egzemplarzy w sferach, gdzie nowych czytelników należy dopiero zdobywać.

Potrzebę nowego wydania przypisać należy tematowi. Dzieła Mickiewicza nie są tylko arcydziełem w historji literatury, pomnikiem, są żywem źródłem, krynicą bijącą wodą żywą—bez nich nie można sobie Polski wyobrazić.

Lecz ta krynica bijąca na wierzchołkach ducha ludzkiego winna zraszać coraz rozleglejsze niwy i jeżeli książeczka ta do tego celu choćby cokolwiek może się przyczynić—już jest jej racja powtórnego wydania.

* * *

Dodajmy wreszcie, co się samo przez się rozumie, że to nowe wydanie nie mogło być prostym przedrukiem poprzedniego.

Wówczas o III części *Dziadów* *zaledwie wspomnieć było można. Nawet tytułu* *Ksiąg Narodu i pielgrzymstwa polskiego* *wymienić nie było podobna. Należało więc obecnie książeczkę uzupełnić, tu i owdzie zmienić.*

Uczyniono to bez poprawień specjalnych w tekście, ponieważ wobec przedmiotu, mało, nic naturalnie, nie zależy tutaj na autorze.

K. D.

Warszawa, w marcu 1922 r.

I.

W województwie Nowogródzkiem, w mieście Nowogródku, w końcu wieku XVIII osiadła rodzina pana Mikołaja Mickiewicza, który wprawdzie pochodził ze szlachty, ale majątku nie posiadając, pracował na chleb jako adwokat przy sądach nowogródzkich. Pan Mikołaj ożenił się z ubogą szlachcianką Barbarą Majewską, która powiła mu kilku chłopców, a w tej liczbie drugi z kolei, który przyszedł na świat w samą wigilję Bożego Narodzenia roku 1788, był Adam. Dziecię wątłe, ale żywe i swawolne, chowało się przy rodzicach, ucząc się poznawać świat i ludzi w otoczeniu rodziny. Obydwu starszych chłopców, Franciszka i Adama, skoro doszli do lat odpowiednich, oddał ojciec do szkoły ks. dominikanów w rodzinnem mieście. Adamowi, który był obdarzony pamięcią nadzwyczajną, nauka szła łatwo, ale nie zawsze był uczniem celującym, bo i zdrowie miał słabe i cierpliwości mu nieraz pewno brakowało. Lubił swawolić i z kolegami urządzać zabawy, ale też lubił zatapiać się w książkach, gdy mu skąd jaka w rękę wpadła. Były to książki różne: powieści i romanse, ale między niemi znajdowały się

też dzieła znakomite. Chłopię żywo sobie przedstawiało to, co wyczytało w księgach, a w sercu jego budziły się uczucia podziwu dla wielkich bohaterów starożytnych i współczucie dla cierpień ludzkich. Już to przy książce, już na swobodzie poza miastem wraz z kolegami, karmił ducha i oczy pięknem przyrodzeniem, a wszystko, co odczuł lub widział, gromadziło się w duszy dziecięcej, żeby wydać kiedyś piękny kwiat miłości ludzi i natury. — Zaledwie dobiegał czternastego roku życia, kiedy śmierć wydarła mu ojca. Nie wiemy, jak odczuł chłopiec ten cios losu, ale napewno można powiedzieć, że zostawił głęboki ślad w jego sercu. A ten wypadek bolesny przypadł prawie jednocześnie z innym również wstrząsającym. Był to bowiem ów sławny rok 12, o którym „dotąd lubią bajać starzy", w którym nie tylko ludzie, ale jakby sama natura odczuwała niespokojne drżenie:

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że, chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i, schyliwszy głowy,
Ryczało albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
Nie cieszą się, jak zwykle, z końca zimy długiej.
Nie śpiewają piosenek; pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo,
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie.
I spoglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
I uważają z trwogą wracające ptaki.

Chłopiec z zamierającym oddechem wiódł okiem za świetnemi zastępami, które tędy ciągnęły na północ pełne blasku. Czarujący obraz,

który przesunął się przed jego wzrokiem, tak głęboko utkwił mu w pamięci, że już go potem czas ani dotknął swym zębem, — chociaż życie popłynęło zwyczajną koleją, i chłopiec zaraz po wakacjach wrócił do zajęć szkolnych. Owdowiałej matce ulżył, biorąc na się obowiązki dozorcy młodszych kolegów, a przykładaniem się do nauk przynosił pociechę. Spoważniał już wtedy. Często można go było zastać na osobności, gdzie płakał ukryty. Zapytany o przyczynę, nie umiał jej wyjaśnić. Ale domyślić się łatwo, że to były łzy przepełnionego uczuciem serca, które, zdolne do wielkiego kochania, odczuwało trwogi, jakich nie znają dusze pospolite, w skorupie samolubstwa zamknięte.

Kończył nauki Mickiewicz w roku 1815 z dobrym skutkiem i zadowoleniem swoich nauczycieli. Brat jego starszy pozostał przy matce i wstąpił na praktykę do sądu. Młodszemu Adamowi los inne przeznaczył koleje. Matka postanowiła wysłać go na uniwersytet do Wilna. W końcu lata tegoż roku młodziutki student, opatrzony na drogę błogosławieństwem, czule żegnany przez rodzeństwo, opuszczał Nowogródek.

II.

Kiedy Mickiewicz z rodzinnego miasta jechał na uniwersytet do Wilna, akademja ta najświetniejszym cieszyła się rozkwitem. Uniwersytet Wileński na nowo powołany do życia, w krótkim przeciągu czasu pod mądrym i energicznym rządem Jana Śniadeckiego do gruntu został

przekształcony. Dzięki niezmordowanym zabiegom tego męża, katedry zostały poobsadzane ludźmi, którzy prócz wiedzy, mało lub zgoła nie ustępującej nauce dotychczas sprowadzanych obcokrajowców, wnosili niewidzianą dotąd gorliwość w pełnieniu swych obowiązków, czem potrafili budzić zapał, tudzież przejęcie się wagą, jaką ma dla narodu oświata młodzieży pozostającej pod ich kierownictwem. Tego też przemilczeć nie można, że szczególniej rektor Akademji, Jan Śniadecki, mając sobie powierzoną zwierzchnią kontrolę i kierunek nad wszystkiemi szkołami w prowincji, tak gorliwie i umiejętnie ten obowiązek spełniał, że ducha gorliwości w nieceniu światła udzielał wszystkim szkołom powiatowym w kraju, których przełożeni czy to duchowni, jak np. w Nowogródku, czy świeccy, pilnie baczyć musieli, żeby się uchronić nagany ze strony surowego i wymagającego zwierzchnika. To przejęcie się sprawą oświaty ogółu, jako zadaniem najwyższej wagi, musiało udzielać się młodzieży, na którą zawsze pobudzająco działa przykład starszych. Że Mickiewicz z takich szkół wyszedł, wolno więc przypuszczać, iż był dobrze przygotowany do słuchania wykładów w Akademji, że z poczuciem ważności tego kroku jechał starać się, żeby go przyjęto na kandydata do stanu nauczycielskiego.

Kandydaci do stanu nauczycielskiego odbywali naukę na koszt Akademji, a za to byli obowiązani po skończeniu kursów do odsługiwania w charakterze nauczycieli. Takie seminarjum utworzone zostało w tym celu, żeby szkołom powiatowym i gimnazjom dostarczyć dobrze przygotowanych kierowników, a ubogiej młodzieży dać możność zdobycia wiedzy, jako środka uczciwej na

chleb pracy. A ten ostatni wzgląd poeta miał na uwadze, bo, nie posiadając po rodzicach majątku, tylko na siebie liczyć musiał.

Przyjechawszy do Wilna, młodzieniec skierował pierwsze kroki do swego imiennika ks. Józefa Mickiewicza, dziekana wydziału matematycznego. Ks. dziekan, chociaż skąpy i trochę dziwak, przyjął go dobrze, zapisał jako kandydata i kazał zamieszkać u siebie. Mickiewicz, pomyślnie złożywszy egzamin, został przyjęty na koszt Akademji i pozostał przy księdzu.

Przez pierwsze półrocze (a może i rok cały) Mickiewicz uczęszczał na wydział fizyczno-matematyczny i, jak zaświadczają jego koledzy, cichy młodzieniec sumiennie pracował nad wykładami. Ale wrodzona skłonność dopominała się czego innego. Wyobraźnia żywa i gorąca nie znajdowała odpowiedniego pokarmu w suchych naukach matematycznych i fizycznych. Młodzieniec przywiózł już z Nowogródka zamiłowanie do ksiąg, w których duch ludzki spowiada się ze swoich wzlotów ku pięknu. Już w Nowogródku wczytywał się w historje dusz ludzkich, w historje ich radości, walki i cierpień. To też już w pierwszym roku nauk począł chodzić na wykłady literatury, gdzie wtedy z katedry przemawiał Leon Borowski, profesor wykształcony, sumienny i oddany swemu zawodowi.

On to był pierwszym przewodnikiem w dziedzinie, która, chociaż pociągała młodziutkiego studenta, była przecież zaledwie po brzegach mu znana. Dopiero od Borowskiego nauczył się Mickiewicz oceniać i rozumieć piękność tych dzieł, któremi jeszcze w Nowogródku zachwycała się jego wyobraźnia dziecinna.

Profesor objaśniał swym uczniom myśli utworów najwznioślejszych, jakie ludzkość w ciągu wieków wydała; zaznajamiał ich z literaturą ojczystą i dziełami poetów, którzy wtedy całą Europę do nowego budzili życia, walcząc o prawa uczucia, które poprzedzające czasy zepchnęły na plan dalszy. Wkrótce między profesorem i uczniem zawiązał się stosunek bliższy, szczególniej gdy Mickiewicz porzucił wydział matematyczny i przeniósł się na oddział literatury. Podobnie jak inni oddawał on swe wypracowania studenckie pod sąd profesora, a ten nie żałował ani czasu, ani pracy na przeglądanie pierwszych prób swoich uczniów, jeżeli w nich znajdował przebłyski talentu. Za to też Mickiewicz na długo zachował w sercu wdzięczność i nie zapominał o Borowskim.

Drugim z kolei kierownikiem duchowym, którego młodzież wszystka uwielbiała, był Joachim Lelewel. Lelewel wykładał dzieje powszechne, a te obok literatury najwięcej interesowały Mickiewicza. Mamy dowody, że i gorliwie, i głęboko badał dzieje ojczyste oraz powszechne, zawsze bowiem więcej, niż do czego innego, garnął się

w krainę żyjącej natury,
Kędy ludzkość jest światem, żywiołami duchy.

Pierwsze zasady tej nauki z dobrej otrzymał ręki, bo Lelewel posiadał i wiedzę nadzwyczajną na swój wiek młodzieńczy, o której powiada Mickiewicz:

Tobie mędrszemu siwe zajrzą Matuzale,

i zdolności nadzwyczajne, połączone z pracowitością, za co go Mickiewicz wysławia, jako tego,

komu rzadkim udało się cudem
Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem.

Posiadał też przenikliwość w badaniu rzeczy dawnych, za co poeta oddaje mu pochwałę, że nie dozwolił tylu księgom kłamać i z samego kłamstwa umiał wyłamać prawdę, a mocą wyobraźni wskrzeszał z umarłych cienie Greków i Rzymian, łamał pokrycie myśli i chęci, że słuchacze mogli zajrzeć w „bezdenność myśli, w labirynt ich serca“. Dzięki tym zaletom uczonego i profesora, młodzież wielbiła Lelewela, a żadna sala uniwersytetu Wileńskiego nie była dość obszerna, żeby pomieścić jego licznych słuchaczów. Młodzież miała także zaufanie do niego, jako do człowieka uczynnego, który pomagał swoim uczniom już to wpływami swemi, już to dobrą radą, czego i Mickiewicz jako młodziutki student doświadczył; bardziej jeszcze, jako do obywatela, który aspiracje młodzieży rozumiał i podzielał.

Na oddziale literatury, którego słuchaczem został Mickiewicz, język łaciński i grecki, historję literatury tych narodów i nauk pomocniczych wykładał profesor G r o d e k. Grodek, choć cudzoziemiec, znał język polski gruntownie, a wychowany w szkole niemieckiej, łączył w sobie ogromną wiedzę ze znakomitym sposobem badania i objaśniania zabytków literatury starożytnej. Nauka pod tym profesorem musiała być owocną dla młodego poety, bo nie tylko nauczył się oceniać piękności literatury starożytnej, lecz poznał też gruntownie język łaciński, skoro w wiele lat po opuszczeniu uniwersytetu, zmuszony kolejami losu do zajęcia w Szwajcarji katedry tego przedmiotu, zyskał najgorętsze uznanie słuchaczów i poklask uczonych.

Gdy w ten sposób w salach uniwersytetu młody Mickiewicz pił u źródła wiedzy, rozszerzał

i pogłębiał swoje wiadomości, — uczucie, które równie silnie jak pragnienie światła przemawiało w jego duszy, znajdowało karm i ujście w obcowaniu z kolegami, z którymi znajomość rychło w najserdeczniejszą miłość się zmieniła.

Między studentami, których w owym czasie Akademja Wileńska liczyła przeszło pół tysiąca, łączności ogólnej, związku żadnego nie było. Spotykali się na wykładach, a potem każdy szedł w swoją stronę. Było też sporo takich, którzy wolne od zajęć chwile spędzali na głośnych zabawach po cukierniach, ogrodach publicznych lub balach. Inni żyli w kółkach kolegów, z którymi łączyła ich znajomość ze szkół prowincjonalnych, lub poza wykładami udzielali sami lekcyj młodzieży ze szkół średnich i pensyj.

Mickiewicz mieszkał w gmachu uniwersyteckim, w którym mieszkał także kolega jego Tomasz Zan, jako korepetytor synowca Kontryma, sekretarza, a potem bibljotekarza uniwersytetu, „wielkiego budziciela do pracowitości i oświaty“. Z Zanem Mickiewicz poznał się zaraz na wstępie do uniwersytetu, bo razem zdawali egzamin, jako kandydaci do stypendjum nauczycielskiego. Tomasz Zan, młodzieniec anielskiej prawdziwie dobroci, zawiązał serdeczny stosunek z Mickiewiczem. W tym też gmachu mieszkał Franciszek Malewski, syn rektora, uczący się prawa. Do kółka najbliższych sąsiadów należał również Czeczott, którego Mickiewicz znał jeszcze ze szkół nowogródzkich, a także Józef Jeżowski, starszy cokolwiek od innych, ale podobny z charakteru i skłonności. Spójnia, która łączyła tych młodzieńców, była daleko silniejszej natury, niż zwykłe koleżeństwo. Zresztą każdy co innego studjo-

wał, ale wszyscy ci młodzieńcy, sposobiąc się na nauczycieli, prawników, przyrodników, rozumieli, że nawet sumienne spełnianie zawodowych obowiązków nie mogło wystarczyć w ojczyźnie, w której nie można było pracować dla swego szczęścia domowego, gdyż, jak później poeta pisał:

Szczęścia w domu nie znalazł,
bo go nie było w ojczyźnie...

Żeby się godnie przygotować do ciężkich zadań, jakie na dobrych Polaków wkładał los ojczyzny, przedewszystkiem postanowili doskonalić się moralnie.

Tomasz Zan tak nie cierpiał ludzi rozpustnych, oddanych uciechom zmysłowym, a wskutek tego żyjących w upodleniu, i tak się poczuwał do obowiązku tępienia tych złych nałogów w młodzieży, że później z dalekiego Orenburga przypomina swoim przyjaciołom, iż „wszeteczności zawsze jest groźnym prześladowcą, że kupił kij żelazny dla jej poskramiania“. W istocie zalecał w tym celu inne zupełnie środki: muzykę, poezję, czystość obyczajów i miłość duchową. A umiał to czynić ze słodyczą i wyrozumiałością, choć charakteru był niezłomnego. — Józef Jeżowski już w szkołach humańskich, skąd do Wilna przyjechał, odznaczał się wielkiem zamiłowaniem wiedzy i podobnie jak Zan, sam surowy względem siebie, był też czuły i wrażliwy na postępowanie kolegów. Młodszych chętnie brał w opiekę, służył pomocą, ale strofował, zachęcał do pracy i pilnował od wszelkich pokus, które im grozić mogły. Zan i Jeżowski nie rozumieli życia samolubnego: kłopoty, interesy przyjaciół, były też ich interesami. Rozumiejąc jednak, że obowiązek wzajemnej po-

mocy ściąga się nie tylko do przyjaciół, ale względem wszystkich ludzi, do których los nas zbliża, i chcąc podobną myślą natchnąć innych kolegów, wybrali ku temu środek, który zdawał się najodpowiedniejszy. Postanowili zawiązać towarzystwo z początku złożone z najbliższych, których charakter i usposobienie ręczyły, że gorliwie przejmą się celami, które Zan zalecał.

W ten sposób na gruncie wspólnych aspiracyj do doskonalenia się i przygotowania do zawodu obywatelskiego powstało w roku 1817 Towarzystwo Filomatów.

Na zebraniach tego kółka czytywano rozprawy o sztuce, układane przez członków, opracowano myśl wydawania dziełek elementarnych dla poprawy nauczania w szkołach początkowych; przestrzegano i starano się o zachowanie czystości języka polskiego, obyczajów narodowych, a to przez zachęcanie się wzajemne i pomoc przy poznawaniu dziejów ojczystych oraz przez pracę nad poezją narodową.

Mickiewicz, wtedy dwudziestoletni młodzieniec zaledwie, skupiony w sobie, małomówny, najczęściej smutny, był jednak w tem gronie otoczony miłością wyjątkową, już dla szlachetności swego charakteru, już dla głębokości myśli, którą najpierw ocenić umieli młodzi przyjaciele,—a potem dla dziwnego talentu poetyckiego, zapomocą którego umiał pragnieniom towarzyszów dać wyraz wzniosły i głęboki. W jednym z utworów, napisanym w roku 1818, a poświęconym towarzyszom, Mickiewicz, wyliczając cele i zadania towarzystwa, w ten sposób zagrzewa do walki z samolubstwem, stawiając jako przykład bohaterów starożytnych:

Niech umysłów nie chwieje burzliwość powodzi,
Towarzystwo nieliczne, kruchej słabość łodzi;
Wszak nie miał barki z dębu, ni serca ze stali
Frygijczyk, co się pierwszy chytrej zwierzał fali,
A w zawody na złomnem puściwszy się drewnie,
Choć nań piekła i nieba dąsały się gniewnie,
W własnych dzielnościach ufny, śmiałych żądań pełny,
Nieba i piekła zwalczył, złotej dostał wełny.

Każdy, mówi poeta, powinien przykładać się do dobra ogólnego z wytężeniem największem, biorąc za przykład tego dzielnego Greka, który wołał pełen szlachetnej dumy:

„Mocniejszy jestem, cięższą dajcie mi zbroję".

Kogo los obdarzył większemi przymiotami i zdolnościami, od tego należy wymagać więcej. Ktoby, biegnąc do mety w szeregu, wyprzedzał innych, temu niewolno cofnąć kroku:

Tak, im kto wyżej stąpił, w większy trud się wprzęga,
I tym się nawet zniża, że wyżej nie sięga.

Z początku szczupłe kółko, o którem mówiliśmy, ostrożnie przyjmowało nowych członków, ale pomimo to wpływ towarzystwa na ogół kolegów był bardzo znaczny. I wpływ to był dobroczynny: wszelkie ustawy i przepisy, któremi chciano okiełznać młodzieńczą żywość, mało skutkowały, gdy tymczasem koleżeńska dobrowolna kontrola wydawała niespodziewane owoce, budząc zapał do nauki, poezji, literatury, czytania. Najsłabsi wystrzegali się splamić brzydkim czynem, żeby nie zasłużyć na naganę tych, których z poczucia szacunku dobrowolnie na sędziów swojego postępowania wynieśli. Widząc dobre owoce swoich usiłowań, Zan, szczególniej oddany sprawie umoral-

nienia młodzieży, postanowił wciągnąć do towarzystwa większe koło kolegów. W tym celu urządza kilkakrotnie liczne majówki, na których młodzież bawiła się i rozprawiała, oddychając świeżem powietrzem i poezją. Nastrój na tych majówkach był wesoły, pogodny, ale zarazem podniosły, jak to widać z piosnki Mickiewicza, śpiewanej na majówkach:

Niech radością oczy błysną
I wieniec czoło okrasi,
I wszyscy się mile ścisną,
Bo to wszystko bracia nasi.

Braterstwa ogniem spięci
Zdejmijmy z serca zasłonę,
Otwórzmy myśli i chęci;
Święte, co tu objawione!

W takiem otoczeniu i przy podobnym nastroju duchowym upływały Mickiewiczowi ostatnie chwile pobytu w uniwersytecie. Przy końcu czwartego roku nauki, w maju 1819 roku przystąpił do egzaminów ostatecznych. Wynik był ze wszech miar dla studenta pochlebny; profesorowie orzekli, że z korzyścią słuchał nauk, wykładanych na uniwersytecie, i że z pożytkiem może zostać nauczycielem w szkole średniej. Ale praca nauczycielska miała się zacząć na jesieni, wakacje więc Mickiewicz poświęcił na odwiedziny Nowogródka, miejsc, gdzie mu upłynęło dzieciństwo, gdzie mieszkała matka z rodzeństwem, tudzież krewni i znajomi. Szczególniej pociągały młodzieńca Tuchanowicze, wieś niedaleko Nowogródka położona.

W Tuchanowiczach mieszkała pani Wereszczakowa z synami i córką. Gdy Mickiewicz po raz pierwszy z Zanem do Tuchanowicz przyje-

chał, odrazu został ujęty niezwykłym powabem Marji, dziewczęcia 19-letniego o ujmującej powierzchowności, filuternym uśmiechu i usposobieniu poetycznem.

Urok wspomnień pierwszego pobytu, wdzięczna postać Maryli, jej miłe rozmowy były taką przynętą, że Mickiewicz nie chciał się wyrzec odświeżenia tych wrażeń, chociaż wiedział, że Maryla jest narzeczoną innego. Ale przyjemne chwile, które spędzał w pobliżu Maryli, trwały nie długo. Pod koniec wakacyj obowiązek wzywał poetę do Kowna, tam bowiem zwierzchność uniwersytecka wyznaczyła go na nauczyciela literatury i historji w szkole powiatowej.

III.

Udając się w końcu lata roku 1819 do Kowna, młody poeta czynił to ze ściśniętem sercem. Obowiązki nauczyciela nie pociągały go; nie miał do tego ani usposobienia, ani zamiłowania. Rozstawał się z najbliższymi sercu, którzy razem z nim przeżyli chwile „górne“, opuszczał ognisko umysłowe, gdzie duch jego kształcił się i dojrzewał, jechał zaś na prowincję, gdzie zamiast towarzyszy miał znaleźć kolegów dwa razy starszych od siebie, ludzi dbających więcej o codzienne sprawy, niż o zagadnienia ogólne, nad któremi przywykł rozmyślać. To też, przybywszy na miejsce i objąwszy swe obowiązki, Mickiewicz duchem przebywał między tymi, których niedawno pożegnał. Z nimi nie przestał obcować, o nich myślał pod-

czas samotnych godzin w murach poklasztornych budynku szkolnego. Skorzystał też skwapliwie z wakacyj podczas świąt Bożego Narodzenia, żeby odwiedzić Wilno. Przyjaciele, chcąc go uczcić stosownie, uroczyście obchodzą dzień jego imienin.

Te chwile, radośnie spędzone w gronie przyjaciół, natchnęły poetę uczuciem, które wypowiada w utworze, znanym pod nazwą *Pieśni Filaretów* [1]. Wzywa on młodzież do wesołości, ale nie tej próżnej, wypływającej z użycia zmysłowego, lecz do tej, która płynie z poczucia sił młodych i gorącej krwi w żyłach. Weseli jesteśmy, bo śmiało spoglądamy w przyszłość, bo jesteśmy pewni swej siły:

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość!

Młodość jest silna zapałem, więc jej ogrom zadania nie ustraszy, ani będzie rozważała, czy ma dosyć siły:

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył,
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!..

Po świętach Mickiewicz wrócił znowu do Kowna, do ciężkich i jednostajnych obowiązków nauczycielskich. Czas wolny, zbywający od zajęć, poświęcał czytaniu, przy którem przenosił się duchem „w rajskie dziedziny ułudy“, rozmyślał nad rozmaitemi rodzajami poezji, — bowiem jego po-

[1]) *Filareci* było to jedno z rozgałęzień *Filomatów*, obejmujące część młodzieży uniwersyteckiej.

jęcia o tem, co piękne i wzniosłe, zaczynały się nie zgadzać z poglądem, który wyznawał u nas cały prawie ogół z małemi wyjątkami.

Według starszego pokolenia pisarzy, którzy cieszyli się powszechnie powagą i uznaniem, poezja była rzeczą raczej nauki, niż natchnienia. Od poety wymagano przedewszystkiem znajomości prawideł sztuki pisarskiej i niezwyczajnego sposobu wysłowienia. Treść tej poezji najczęściej była powszednia, niezajmująca, co pisarze właśnie za pomocą szumnie brzmiących słów starali się ukryć. Rozumiały umysły wyższe, że taki stan rzeczy nie wróży nic dobrego, odzywały się głosy bardzo poważne, że nie posiadamy poezji narodowej, która powinna być przodowniczką duchową narodu,—ale wskazać drogi nie umiano. Przyszłe szlaki bowiem, któremi pójdzie duch ludzki, trudno odgadnąć. Nową epokę w poezji stwarza genjusz, który karmi się wprawdzie tem, czem wszyscy ludzie, ale, będąc wrażliwszy od innych, głębiej pojmuje najdalsze cele ludzkości i, przekuwszy je w tajemniczej kuźni swego ducha na język zrozumiały a mocny, obwieszcza narodom. Na taki genjusz czekał naród, nie mając w dziedzinach uczucia nikogo, za kimby, pewny swej drogi, iść potrafił. Kiedy tak było u nas, zjawili się w Niemczech Goethe i Schiller, a w Anglji Byron. Genjusze ci wielkim głosem budzili ze snu ludzi, ukazywać zaczęli piękno w przyrodzie, która szczodrze je rozsypuje wokoło, duszy i sercu ludzkiemu przywracają prawa, uczą je kochać, czuć głęboko. Utworami tych pisarzów karmił się młody poeta w Kownie, oni byli w początkach jego przewodnikami. Pod wpływem czytania utworów nowej poezji i usposobienia, panującego po-

śród młodzieży, z którą oddalenie więzów bynajmniej nie rozluźniło, Mickiewicz zwrócił się do podań i baśni ludowych, a przybierając swoje własne uczucia w ich szatę, zrywał z prawidłami szkolnemi i panującym kierunkiem w sztuce. Postępował sobie bez oglądania się na wszelkie powagi, tak bowiem był pewny, że uczucie nie na mylne prowadzi go ścieżki. — Ale ta praca, tak pocieszająca dla innych, nie rozwiewała smutnego usposobienia poety. Co się składało na ten smutek? I oddalenie od przyjaciół, i jednostajność zajęcia, które mu poczynało ciążyć, i stosunek do Marji, z którą po raz ostatni widział się podczas wakacyj letnich roku 1820. Gdy bowiem Marja w lutym następnego roku zaślubiła człowieka, z którym oddawna była zaręczona, Mickiewicz, choć przygotowany do tego, poczuł, że młodzieńczym jego marzeniom stała się krzywda bolesna. Odtąd, — myślał, — duch jego będzie się kołatał samotnie, nie widząc nic przed sobą, a we wspomnieniach będzie znajdował mękę, ożywiającą w sercu żal, jak mogło być i jak być musi. Już ta natura głęboka i płomienna nie znajduje uspokojenia w gronie towarzyszy.

Mają oni dostęp do tajemnic jego serca, ale ukoić go nie będą w stanie, nawet pojąć nie są zdolni, co się dzieje w jego duszy:

> Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
> Nie słychać zdala wichru, co tu liny targa;
> Grom, co tu bije, dla was tylko błyska.
> I razem ze mną pod strzałami gromu,
> Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!

W chwilach tych oddaje się nawet rozpaczy i zakazuje wydawania sądu o sobie:

Sąd nasz prócz Boga nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

Nie znaczy to jednak, żeby towarzysze przestali mu być drodzy. Po dawnemu wyrywa się do nich, ile razy zdarzona sposobność pozwala, bo w ich gronie choć chwilami zapomina o osobistym smutku. Gdy nadeszły wakacje, które przywykł spędzać w Tuchanowiczach, — nie wie, jak tym czasem rozporządzić, tem więcej, że z Kowna podczas lata znajomi się rozjechali. „Chociaż nie jestem smutny ani znudzony, przecież mimowolna zasada ruchliwości obraca się we mnie. Jest to zepsuty kompas, który zmienia ciągle kierunki, ale już stracił własność i nie może trafić na swój biegun". Tym biegunem była, zdaje się, Marja, obecnie już Puttkamerowa, żona zacnego, światłego człowieka, który dla Mickiewicza najżyczliwsze żywił usposobienie. Dla rozerwania umysłu poeta postanowił udać się do kąpieli morskich, lecz nie widać, żeby pobyt nad morzem go zadowolił. Odwiedza następnie Nowogródek, ale i tam trafia na pustkę: matka umarła, a dom rodzicielski opuszczony. Jakie wrażenie zostawiły na duszy Mickiewicza te odwiedziny, dowiadujemy się z ust jego własnych:

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki —
Ledwie go poznać mogłem: już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie;
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na smętarzu w północ, milczenie dokoła!

Podwójnie bolesna ta pustka w porównaniu z niedawno minionym obrazem:

O! inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkim oddaleniu, gdym wracał do mamy,
Już mnie dobre życzenia spotkały zdaleka;
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka;
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali.
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali,
Lecą nazad gościńcem, wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu.
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwie nie zagłuszy.
Teraz — pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku.

Ze wszystkiego, co drogie było sercu poety, został pies wierny:

Ach, tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony łaty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój, pójdź tu Kruku! — Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i — pada bez ducha!

Choć tak młody, lecz pod świeżem wrażeniem strat i zawodu obraca się umysł poety w krainie pamiątek. Żeby odświeżyć te wspomnienia, znaleźć się bliżej miejsc, w których bawił z ukochaną, odwiedza jej brata i okolicę pięknego jeziora Świtezi.

Po wakacjach wraca do Kowna, ale stara się o roczny urlop, bo mu zdrowie nie dopisuje, a przytem zajęcia literackie wymagają jego obecności w Wilnie. Urlop nadszedł w listopadzie, Mickiewicz więc przenosi się do Wilna i zamieszkuje u Czeczotta. To zbliżenie się ponowne do koła przyjaciół i do uniwersytetu wpłynęło uspokajająco na usposobienie poety. Zresztą sam uczuwał potrzebę wyrwania się z odrętwienia

i bolesnych wspomnień. Pragnął wyjechać za granicę, żeby nabyć więcej wiadomości, poznać szeroki świat, ludzi i przyrodę, dotąd bowiem prócz miejsc rodzinnych, Wilna i okolic Kowna, nic nie widział.

Przyjaciele, o ile mogli, gorąco jego zamiary popierali, ale sprawa głównie zależała od uniwersytetu, Mickiewicz bowiem, jako stypendysta i nauczyciel szkoły kowieńskiej, pod jego władzą się znajdował, zresztą tylko od uniwersytetu mógł się spodziewać zasiłku pieniężnego na podróż. Nadzieję wyjazdu opierał na tem, że było zwyczajem uniwersytetu wysyłać odznaczających się uczniów za granicę na dalszą naukę. Starania przedsiębrane przez Mickiewicza nie odrazu znalazły przychylne przyjęcie u władzy. Tymczasem poeta zajął się drukiem swych utworów.

IV.

Przed zamierzonym wyjazdem za granicę Mickiewicz postanowił ogłosić te swoje utwory, które dotychczas z małemi wyjątkami były znane tylko w kole najbliższych przyjaciół, a także nowe, które powstały podczas samotnych marzeń i rozmyślań w murach poklasztornych szkoły kowieńskiej.

Wiedział, że, przy panujących w owe czasy poglądach na poezję, nie znajdzie uznania u literatów z zawodu, poetów, uczonych i krytyków; wiedział, że chociaż młodzież przyjmowała jego

utwory z zapałem, starsi pisarze, nawet jego właśni profesorowie, uznać mogą kierunek jego poezji za szkodliwy lub niegodny człowieka ukształconego. Ale tego rodzaju względy nie mogły wpłynąć na jego postanowienie, ani zmusić do zboczenia z drogi obranej. To, co uznał za słuszne, postanowił głosić, choćby miał stąd narazić się na odezwy niechętne. Zbyt bowiem wielkie znaczenie w życiu narodu przypisywał poezji, żeby miał kierować się względami czasowemi; sam zbyt gruntownie zastanawiał się nad jej zadaniem, żeby mogły go zachwiać głosy, po większej części powierzchowne, choć wygłaszane przez ludzi bardzo poważnych.

Ale wprowadzając do poezji polskiej to, co nigdy w niej się nie znajdowało i obierając drogę, którą nikt u nas nie chodził, roztaczając przed ludźmi świat nowy,—poeta poczuwał się do obowiązku napisania kilku słów wstępu, jakby w obronie tego, co w dziełach swoich publiczności oddawanych zamierzał i dokonał. Przedmowa ta ukazała się na początku pierwszego tomu, który wyszedł z druku w roku 1822, a zatytułowana została: *O poezji romantycznej*. W niej Mickiewicz wykłada swój pogląd na poezję, rozpatrując rozmaite rodzaje poezji różnych narodów, poczynając od Greków w starożytności, aż do poezji angielskiej wieku XIX.

Zaraz na początku zaznacza, że „za odmianą uczuć, charakteru, opinji narodowych, zachodzi odmiana w samej poezji". Że kierunki muszą zależeć od czasu, bo poezja „bywa najpewniejszem znamieniem usposobienia ludów". Z tego wypływa, że żadnego kierunku nie należy uważać za taki, który może trwać wiecznie.

Mówiąc o poezji starożytnych Greków i znajdując ją nad wszelki wyraz doskonałą, poucza, że wielkie znaczenie zawdzięcza ona temu, iż czerpiąc treść z wierzeń ludowych i kształcąc je tylko oraz wynosząc na stopień niesłychanej piękności, wpływała na podnoszenie i doskonalenie w całym narodzie sił duchowych. „Poeci greccy", powiada Mickiewicz, „w najświetniejszym okresie swej sztuki zawsze śpiewali dla gminu; pienia ich były składem uczuć, mniemań, pamiątek narodowych, ozdobionych zmyśleniem i wydaniem przyjemnym, wpływały więc silnie na utrzymanie, wzmacnianie, owszem kształcenie charakteru narodowego". Gdy poezja nie ma tych cech swoich głównych, mówi dalej Mickiewicz, gdy nie jest wyrazem uczuć prawdziwie narodowych, tam niema zgoła poezji: „w narodzie rzymskim nie było właśnie poezji, bo nie było poezji narodowej, którąby, wpływając na charakter i kulturę całego narodu, dopełnić mogła była właściwego jej przeznaczenia". Ostrzega też przed naśladowaniem bezmyślnem, bo wzory cudze, tylko we własne wyrazy przebrane, nie zastąpią tego, czego od poezji wymagamy, bowiem nie przemówią do ducha naszego, jeżeli nie z nas samych wypływają. Tę samą myśl uwidocznia Mickiewicz na poetach wieków średnich, którzy stworzyli odmienny od starożytnego rodzaj poezji nie dla czego innego, tylko dlatego, że do poezji wprowadzili nowe wyobrażenia, nieznane światu starożytnemu: tak zwany duch rycerski, polegający, między innemi, na ścisłem przestrzeganiu praw honoru, z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknej, obce prawie zupełnie ludom starożytnym.

Przechodząc do czasów nowożytnych, Mickie-

wicz zaznacza, że ci poeci największy wpływ osiągają i do największej potęgi dochodzą, którzy malują w prawdziwych rysach naturę ludzką, uczucia i obyczaje, nie krępując się żadnemi przepisami lub wzorami, — te bowiem zmieniają się zależnie od obyczajów, usposobienia i czasu.

Tak pojmując zadanie i cel poezji, poeta w pierwszym tomie ogłosił utwory, którym nadał ogólną nazwę ballad i romansów. Co w tych utworach było niezwykłego, że poeta uważał za potrzebne poprzedzić je przedmową, w której swój pogląd na poezję wyjaśnia? Nowością była ich prostota i to, że prawie wszystkie z podań ludowych treść czerpały. Nowością było to, że, gdy dawniejsza poezja mogła być rozumiana tylko przez ludzi ukształconych, ta przemawiała do serc prostych, a czułych. Nowością było to, że treść tych utworów nie wpośród dalekich krajów lub ludów obcych, ale odbywała się wpośród nas, w miejscach znanych, nie będąc przez to mniej piękną. Nowością była cecha narodowa, którą zaraz w pierwszych swych utworach nadał poezji Mickiewicz.

Gdy dawniej dla podniesienia znaczenia utworu szukano treści poważnej, uroczystej, a która stawała się wskutek wysiłku zimną, przedstawia on swoje prace młodzieńcze, w tym tomie zebrane, jako skromne kwiatki leśne i tak przemawia do tych „pierwiosnków“ swej twórczości, tłomacząc, dlaczego je w świat wypuszcza:

W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni liljowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz skądże ufności tyle?
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

Że utwory te odtwarzają uczucie poety względem Marji Wereszczakówny, że zrozumienia ich przez przyjaciół był on pewny, — tak odpowiada kwiatek, który tu jest upostaciowaniem tych utworów:

Powitają przyjaciele
Mię, wiosny aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele
I cień lubi, jak me ziołka.

Od kochanki poeta spodziewa się łzy żalu za rozwianem marzeniem młodości:

Czym kochanki godzien rączek?
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą — ach, łzę tylko...

Myliłby się jednak wielce, ktoby przypuszczał, że te utwory Mickiewicza przedstawiają tylko historję jego młodości, że mogły obchodzić tylko Marylę i przyjaciół. Poeta swą miłość i uczucia odmalował w ten sposób, że nie tylko przez wszystkich mogły być rozumiane, ale i we wszystkich sercach czułych znajdowały oddźwięk, a przytem, malując stany serca i ducha wyższego polotu, podnosić mogły i uszlachetniać ogół, który się w nie wczytywał.

W utworze pod tytułem *Romantyczność* poeta bierze stronę kochanki, której umysł zdaje się być ludziom dotknięty obłędem, a tymczasem jest to stan tęsknicy za lubym zmarłym, którego ona tak pragnie ujrzeć choć na chwilę, że oczami duszy spragnionej widzi go przy sobie i doń przemawia. Prawda, że to zjawienie się kochanka nie jest rzeczywiste, że dla ludzi obojętnych nic w tem miejscu nie istnieje, jednak dla współczujących dziewczynie ten jej stan jest zupełnie zrozumiały.

„Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
A gawiedź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko".

Do tych, którzy, kierując się tylko rozumem, lekceważą objawy tak silnego uczucia, poeta zwraca się z wyrzutem:

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!"

W *Romantyczności* poeta broni uczucia przed zimnym rozsądkiem; w innych balladach albo maluje potęgę uczucia, albo pokazuje, jak się ono mści, gdy kto przeciw niemu zgrzeszy. Zasłuchany w podania ludowe, z nich czerpie treść, opisując tylko ziemię ojczystą. A podań pięknych istnieje między ludem niemało i ziemia dużo przedstawia uroków dla tego, kto piękności jej odczuć potrafi. Jedną z takich ballad, w której przedziwnie opisał zakątek rodzinny i piękne opowiedział podanie, jest ballada *Świteź*.

Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.

W nocy jednak czasami nad tem cichem jeziorem, pośród lasów leżącem, dziwne wyprawiają się rzeczy. Ludzie — jak ludzie — ciekawi. Więc pan kazał związać niewód i zbadać tajemnicze tonie. Lecz o dziwo! gdy niewód na brzeg wyciągnięto, wychodzi z niego żywa niewiasta i opowiada tajemnicę jeziora, której ludzie dociec chcieli przez zdrożną ciekawość.

Nad jeziorem stało niegdyś miasto. Gdy Ruś najechała kraje litewskie i pan grodu poszedł na pomoc księciu nowogródzkiemu, w mieście zostały same niewiasty, starce i dzieci. Tłum nieprzyjaciół wtargnął bez przeszkody, strwożeni mieszkańcy chronią ledwie głowy:

„Gwałtu, wołają, zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali."

Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu,
Miecą bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznemi głosy:

Przeklęty będzie, kto się nie dobije!...

Córka wodza, widząc przed sobą niechybną sromotę lub samobójstwo, modli się do Boga:

„Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiei Twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!"

Lecz Bóg inną dla nich obmyślił obronę, — bo gdy tłuszcza zamku dobyła, w miejscu, gdzie stały dziewice, ujrzała białe kwiaty.

„Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie;
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

W innych balladach poeta najchętniej opowiada historję nieszczęśliwej miłości. Dla prawdziwego uczucia żywi głęboki szacunek, a za zdradę słusznie spodziewa się kary. Do strzelca, który przysięga dziewczynie, tak mówi z przestrogą:

„Dochowaj, strzelcze, to moja rada,
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

Miłość, zdaniem poety, pod jakąkolwiek postacią, czy to mężczyzny względem kobiety, czy ojca względem dzieci, uszlachetnia człowieka i budzi w nim lepsze uczucia. W balladzie pod tytułem *Powrót taty* Mickiewicz przedstawił zbója, który wzrusza się na widok dziatek, modlących się o szczęśliwy powrót ojca. Gdy banda jego rzuca się na kupca, on spędza ją z drogi i uwalnia ojca, bo nie chce robić małych dziatek sierotami, a młodej małżonki wdową.

Kupiec dziękuje, a zbójca tak mu opowiada tę cudowną przemianę, jaka nastąpiła w jego sercu:

„Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty:
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham: z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham: ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki".

Inne ballady, które w tym tomie Mickiewicz pomieścił, jak oto: *Kurhanek Maryli*, *Do przyjaciół*, *Do lubej*, *Dudarz*, malują na tle opowieści gminnych miłość poety do Wereszczakówny, a że ta miłość smutnie się zakończyła, więc i one są przejęte smutkiem. W *Kurhanku Maryli* Jaś, matka i przyjaciółka opłakują śmierć ukochanej. Żal ich wyraża poeta z prostotą taką, z jaką on w pieśni ludowej się odbija:

Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy.
Teraz się ojciec biedzi.
A ja ni ludziom, ni Bogu!
Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy rozkradnie,
Niech trzodę wyduszą wilki!
Niemasz, niemasz Marylki!

W tym pierwszym tomie Mickiewicz ogłosił trzy inne jeszcze ballady: *Pani Twardowska*, *Tukaj* i *Lilje*. Jak w tych, o których była mowa wyżej, tak i w dopiero co przytoczonych wciela on do swoich utworów pieśni gminne lub podania prze-

rabia na utwór poetyczny. Był to krok śmiały. Ludzie wykształceni owego czasu nie przypuszczali, że w utworach ludowych może być coś, coby oświeconego człowieka zająć mogło. Chwalili jedni, inni milczeli albo nawet mu naganiali, bo się obawiano, że młodzież uniesiona pięknością tej nowej poezji, jej świeżem tchnieniem od lasu i pola, mniej będzie ważyła sobie rozum i naukę. Ale płonne to były obawy. Żaden z naszych poetów więcej nie cenił wiedzy i oświaty, a nie posiadał rozleglejszych wiadomości, niż Mickiewicz. Prostota uczuć, którą opiewał i podnosił w swoich utworach, łączyła się w nim z umysłem jasnym, głębokim, z szacunkiem dla wiedzy, jaki zwykle znajdujemy u tych, którzy obficie piją u jej źródła. Poeta przedstawiał zabobony i gusła, bo one żyły w obyczajach ludu i jego wierze, ale cenił w nich tylko uczucie, obyczaj i charakter narodowy.

Ci, co najbliżej byli spoufaleni z Mickiewiczem, jego poglądami i myślami, odczuli, że nowa zaczyna się chwila w naszem życiu duchowem. Przedewszystkiem odczuli to przyjaciele poety i gorliwie przykładali się do wydania jego pism. W rok niespełna po ukazaniu się pierwszego tomu Jan Czeczott pisze w tej wielce obchodzącej ich sprawie do Malewskiego, bawiącego wówczas za granicą: „Drugi tomik wkrótce będzie się drukować, już jest gotowy. Będzie walny, będzie w nim *Grażyna*, powieść litewska, malująca sposób myślenia Litwinów o Krzyżakach i wystawiająca ich z niemi zatargi... Dalej będą umieszczone *Dziady*, o których musiałeś słyszeć, a podobno i czytałeś część którąś. Tych części mamy dwie, może obie zmieszczą się w tomiku". Na koszta

wydawnictwa zbierano prenumeratę, czem zajęli się przedewszystkiem koledzy i przyjaciele.

Tymczasem Mickiewicz od jesieni 1822 roku, gdy się urlop skończył, znowu musiał wracać do Kowna, choć ani stan jego zdrowia, ani usposobienie nie było odpowiednie do oddania się pracy nauczycielskiej. Przyjaciół, zmartwionych, że zamiar wyjazdu za granicę spełzł na niczem, stara się on uspokoić, tak pisząc do Franciszka Malewskiego, bawiącego w Berlinie: „Nie lituj się jednak zbytecznie nade mną. Łatwiej jest przywykać, aniżeli odwykać. Przywykłem do wielu rzeczy. Kowno dla mnie staje się domem, Wilno gościną, Nowogródek — zagranicą. Przywykam do szkoły, bo mało czytam, mało piszę, często myślę i cierpię. Byrona tylko czytam; książkę, gdzie w innym duchu pisano, rzucam, bo kłamstwa nie lubię; gdzie jest opis szczęścia życia familijnego, również mnie oburza, jak widok małżeństw, dzieci: jest to jedyna moja antypatja". Takie listy nie mogły zaiste uspokoić przyjaciół, bo choć poeta pisze, że pogodził się z losem, który kazał mu uczyć dzieci w małej mieścinie, jednak widać, że go to dużo kosztuje i że nie przestał cierpieć z powodu zawodu miłosnego, skoro nie może patrzeć bez wzruszenia, jak inni żyją szczęśliwie w związku małżeńskim. Takie usposobienie źle działało na jego wątły organizm młodzieńczy. Ci, którzy byli bliżej i częste od niego otrzymują wiadomości, są pełni obaw na przyszłość. Czeczott w początkach roku 1823 pisze do Malewskiego: „Z Adamem nie wiadomo, co robić. Uczyć dalej żadną miarą nie może, do ostatka straci zdrowie; mówi, że go lekcje na cały dzień paraliżują. Lubo zdaje się być teraz spokojniejszym

i jest nawet w istocie, jednak zawsze nudny, często bezsenny, ciągle tylko fajką i kawą żyje".

Pogorszały położenie wiadomości, które poeta otrzymywał od Marji. Ona, niby do męża przywiązana, wskutek dziwnego umysłu i rozmarzenia, nie umiała się pogodzić z myślą, że prawa do serca Adama na zawsze utraciła. Niezadowolona z siebie, oddawała się melancholji i żalom, o których Mickiewicz dowiadywał się pośrednio, dręczył się sobą i jej stanem. Mało zdaje się obchodzić go sława, którą zyskiwać zaczyna, jako poeta, nie rozrywają go nawet przygotowania do druku drugiego tomu poezyj, w którym złożył historję swych uczuć. Właśnie na wiosnę 1823 roku wyszedł zapowiedziany tom drugi. Zawierał on, jak to Czeczott pisał w liście, *Grażynę* i *Dziady*

Dwa te utwory całkiem różne, oba noszące znamię genjuszu, oba w naszej poezji były zjawiskiem nadzwyczajnem.

Grażyna budziła do życia w pieśni dzieje zamierzchłych czasów, ale duch poety ożywił postaci dawno w grobach poległe, wlał im w żyły krew gorącą i męskie serce włożył w piersi. W *Dziadach* odmalował z gwałtowną siłą burzę, jaką miłość namiętna wzbudza w sercu człowieka.

Grażynę nazwał Mickiewicz powieścią litewską. Rzecz dzieje się na dworze jednego z pomniejszych książąt, panującego w XIV wieku w Nowogródku.

W nocy do bram zamku stuka nieliczne poselstwo, wysłane przez zakon Krzyżaków, którzy, sprowadzeni do Polski w XIII wieku, siedzieli w okolicy dzisiejszego Królewca i stąd pod pozorem nawracania niemiłosiernie trapili pogańską Litwę ustawicznemi najazdami. Służba księcia Li-

tawora, poznawszy przybyszów, tak między sobą szepce:

To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków,
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.
O, gdyby nie był nikt tu więcej z warty,
Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha.

Książę Litawor, zawiadomiony o poselstwie, słuchając Rymwida, starego doradcy,

To się rumieni, to wzdycha, to blednie,
Wydając twarzą troski niepowszednie.
Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił;
Wrzkomo poprawia, a do głębi ciśnie.
Wcisnął nareszcie i całkiem zadławił —
Nie wiem, przypadkiem, czyli też umyślnie.

Książę pragnie ukryć swe myśli, nie chce, żeby stary Rymwid z twarzy mu wyczytał, że on, książę litewski, zamyśla dochodzić na księciu Witoldzie swego po żonie posagu zbrojnie i przy pomocy najzawziętszych wrogów Litwy — Krzyżaków. Rymwid tego kroku pochwalić nie może. Chociaż książę Litawor słusznie żywi urazę do Witolda, ale czyż godzi się łączyć z wrogiem, żeby załatwić sprawy familijne, czyż można w tym celu zawierać sojusz z Krzyżakami?

„O panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył tej pory!
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczora wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie.
Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać: raczej ogień z wodą

Bo chociaż święta jest zgoda,

„Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni prośbą, ni dary!...
Małoż Prusaki i Mazowsza cary
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele".

Tak mówi Rymwid. Lecz w Litaworze nienawiść głuszy głos sumienia. Próżne namowy starego sługi: — Litawor chce zemsty, nic go z tej drogi sprowadzić nie zdoła. Rymwid, odprawiony przez księcia, śpieszy do księżnej po radę.

Była naówczas książęciu zamężną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną.

Ale nie tylko piękność zdobiła Grażynę. Wysmukła, wzrostem dorówna Litaworowi i jak on męskie lubi zabawy i trudy.

Tak zjednoczona zabawą i trudem
Osłoda smutku, spólniczka wesela,
Nietylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy i tajne układy,
Częstokroć od jej zależały rady....

Może ona swoim wpływem oświeci zaćmiony nienawiścią umysł Litawora i odciągnie od sojuszu z Krzyżakami, a imię Litwina uchroni od plamy ciężkiej zdrady względem ojczyzny! Księżna natychmiast udaje się do małżonka i zamyka z nim w sypialni. Co z sobą mówili, niewiadomo, ale gdy po długiej chwili ukazała się znowu, każe posłów krzyżackich odprawić. Krzyżak obrażony grozi zemstą i obiecuje z wojskiem w polu będą-

cem uderzyć na Nowogródek. Gdy nad ranem Krzyżacy ukazują się w bliskości miasta, księżna bez wiedzy męża przybrana w zbroję, która ją czyni podobną do księcia, wyprowadza w pole Litwinów, gotowych zawsze do boju z Niemcami. Ale broń w jej ręku nie jest niebezpieczna; pomimo waleczności Litwinów Krzyżacy są bliscy zwycięstwa, gdy na odsiecz zagrożonym przybywa rycerz nieznany:

Dobiega Niemców, między tłumem tonie.
Bitwy nie ujrzysz; ale zgiełk i jęki
Dają odgadnąć w jakiej walka stronie
I jak straszliwy piorun jego ręki.
Tam szyszak zniknie, owdzie sztandar padnie,
Tłoczy się hufiec, miesza się bezładnie.

Jako leśnicy, gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali:
Jęczą topory, chrobocą pił zęby;
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali;
Nakoniec: między wyciętemi zręby
Ujrzysz i mężów i błyskanie stali:
Takie nasiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darł się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Niestety, przybywa o jedną chwilę za późno. Wódz krzyżacki, szukając po polu Litawora, już się zetknął z tym, kogo miał za księcia:

Litawor szablę wynosi do cięcia,
Komtur dał ognia z piorunowej broni.
Zadrżą Litwini, pojrzą na książęcia:
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,
Cugle z słabego wyciekły ujęcia.
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,
Spływając z siodła, już się bokiem chyli
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Grażyna już umierała, gdy Litawor, — bo on to był owym rycerzem, śpieszącym na pomoc, — chwycił ją w swe ramiona i uniósł z pola walki. Smutny był powrót Litwinów do zamku z ciałem księżnej — czarna rozpacz osiadła w duszy małżonka. Gdy ciało złożono na stosie, oszalały z bólu książę woła:

„Zapalcie zgliszcze!" Palą, ogień bucha,
A książę dalej: „Wiecie-li wy, czyje
Zwłoki na stosie giną?..." Cichość głucha.
„Niewiasta! choć ją męska zbroja kryje!
Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha!
Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!"
Rzekł, bieży na stos, upada na zwłokach,
Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

W tej pieśni jakiż piękny obraz kobiety odmalował poeta! Żona jest najbliższą, najlepszą przyjaciółką męża. Ona nie tylko zabawy jego podziela, ale, rozumem mu dorównywając, troskom jego ulgę przynosi. Nie daje się unieść zaślepiającej nienawiści; wtedy gdy mąż ulega namiętnościom, ona, baczniejsza na wszystko, odgaduje uczuciem, z czego wypaść może hańba, — i nawet na gniew ukochanego się narazi, na wyrzuty, ale go uchroni od złego. Taką jest Grażyna: kocha męża, kocha zarówno ojczyznę — słabe ma ciało, ale duszę mężną i przez to staje się równa wielkim bohaterom, ani rozumem, ani siłą uczucia im nie ustępując. Poeta, opisując tę piękną postać, budzi uczucia, które nie tylko życie mogą osłodzić, ale śmierć samą uczynić słodką, a dokonał tego mocą swego uczucia i talentu. Mamyż się dziwić, że przyjaciele, którym los szczęśliwy pozwolił żyć z nim współcześnie i zbliska odczuwać tę wielką duszę, tak go kochali?

W owe czasy poeta nasz nietylko uwielbienie, ale i współczucie musiał budzić, bo cierpiał wiele. Historja tych cierpień to IV część *Dziadów*. W nich mamy obraz bólu i zawodów młodego namiętnego serca, szukającego szczęścia, do którego człowiek zdaje się być przeznaczony, którego pragnie, gdy mu świat, pełnemu sił młodości, staje otworem. Mowa tu o szczęściu osobistem, którego wkrótce poeta wyrzec się potrafił, oddając całego siebie innym. Umieściwszy w *Dziadach* historję walk swego serca, zamknął je jakby w trumnie — ludziom ku nauce, sercom kochającym ku przestrodze.

W tym tomie, który wyszedł w Wilnie w roku 1823, ogłoszone zostały tylko następujące części *Dziadów: Upiór*, oraz część II i IV *Dziadów*, później znacznie ogłoszone zostały urywki części I, napisanej w tym czasie, ale nie ogłoszonej.

Dziady — to stary obrządek pogański. W dawnych czasach, a nawet jeszcze za młodości Mickiewicza, lud litewski obchodził w porze, kiedy obecnie przypada dzień Zaduszny, święto umarłych, zastawiając na grobach jadło, napoje i śpiewając pieśni obrzędowe. Lud wierzył, że w ten sposób można przynieść ulgę duszom, cierpiącym w życiu zagrobowem. Człowiek bowiem od najdawniejszych czasów nie zapomina o ukochanych, których śmierć z grona żywych uniosła. Fantazja poety oddała tę wiarę i pamięć w obrazach uchwytnych i widzialnych dla oka.

W części I poznajemy dziewczynę, która w noc Dziadów, zaczytana w historję kochanków, uczuwa tęsknotę dziwną — za istotą, którąby zrozumiała lepiej, niż ludzie powszedni, potrzeby jej serca. Dziewczyna nie chce wierzyć, żeby ta istota, upra-

gniona, wymarzona przez nią, nie istniała na świecie:

W przyrodzeniu, powszechnej ciał i dusz ojczyźnie,
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie.
. . . .
A tylko serce czułe z dozgonną tęsknotą
W rodzinie tworów jedno ma zostać sierotą?
Stwórca mi dał to serce. Choć w codziennym tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie,
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi wzlata!

O, gdyby taką duszę spotkać!

Bylibyśmy jak lotne tchnienia, co je rosa
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosa,
Lekkie i niewidome, lecz kiedy się zlecą,
Spłoną i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą!

Gdy dziewczyna marzy, szukając kochanka w tłumie dusz obojętnych, w innem miejscu, takiem samem ożywiony pragnieniem, poddaje się niewytłumaczonej tęsknocie młody poeta, odłączywszy się od gwarnego towarzystwa myśliwych. Na chwilę ożywia go tchnienie puszczy i wtedy z piersi wyrywa mu się śpiew na cześć myśliwych, lecz wnet, poczuwszy się sam, wraca do swych zwykłych myśli, czemu jak inni nie zadawala się uśmiechami, jakie daje życie:

A ja — czemu nie jestem jak oni?
Wyjechaliśmy razem, cóż mnie w pole goni?
Ach! nie zabawy ścigam — uciekam od nudy;
Nie rozkosze myśliwskie lubię, ale trudy;
Że się myśli przynajmniej, że się miejsca zmienia
I że tu nikt mojego nie śledzi marzenia,
Łez pustych, które nie wiem skąd w oczach zaświecą
Westchnień bez celu, które nie wiem kędy lecą,
Nie do sąsiadek pewnie — na wiatry, na gaje
Ku marzeniom . . .

Swiat rzeczywisty zadowolić go nie może. Nadto dobrze przejrzał interesowność i obojętność serc, które tylko o zysku, powodzeniu, dobrobycie marzą, które nawet swoje uczucia do mody stosują. Dusza jego rwie się do istoty, której istnienie i obecność odczuwa, — taką pragnie poznać, ucieleśnienie swych marzeń:

Niechaj się twój duch uwieńczy
Choćby marnem, nikłem ciałem;
Okryj się choć rąbkiem tęczy
Lub jasnym źródła kryształem.

Ach! gdzie cię szukać? — Od ludzi ucieknę;
Ach, bądź ty ze mną, świata się wyrzeknę!

Gdy poeta te wołania wyrzuca w dal nieznaną, zjawia się postać tajemnicza. Pod pozorem przyjaźni obiecuje swą pomoc:

Jeżeliś niepojętny, będę się tłómaczyć;
Jeżeli mi nie ufasz, będę szczerszy z tobą.
Wiedz naprzód, iż, gdzie stąpisz, jest wszędzie nad tobą
Pewna istota, która z oczu cię nie traci,
I że chce ciebie w ludzkiej nawiedzić postaci,
Jeżeli to, coś przyrzekł, zachowasz niezłomnie...

Ta dziwna mowa budzi młodzieńca z szału, w którym się zatopił; przeczuwa, że zastawiono sidła na jego duszę, więc z trwogą woła:

Przebóg! co to ma znaczyć? Nie zbliżaj się do mnie!

Nie wiemy, ani nie domyślamy się, jak poeta te dwa ustępy w części pierwszej *Dziadów* chciał połączyć z treścią obchodu święta zmarłych. To wiemy jednak z pewnością, że pod postacią dziewczyny odmalował Marję Wereszczakównę, a w mło-

dzieńcu siebie z owego czasu, gdy zaledwie wychodził z dzieciństwa. Z tego, co właściwego obchodu Dziadów się tyczy, poeta w części pierwszej przedstawia rzesze, dążące na tę uroczystość tajemniczą i podniosłą. Starzec i dziecię, koniec i początek życia ludzkiego, podają sobie ręce, choć jeden wspomnieniem cofa się w przeszłość, drugie do przyszłości wyciąga dłonie:

Jutro pójdziem na cmentarz: ty swoim zwyczajem
Dumać, ja zdobić krzyże kwiatami i majem.
Mówią, że dzisiaj w nocy umarłych spotkamy,
Ja ich nie znam, ja własnej nie pamiętam mamy.

Inaczej starzec spotyka ten dzień; on raczej należy do tych, którzy odeszli syci znoju i życia:

Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał,
Dłonie, co mię pieściły, głos, co mię przenikał,
Gdzież są? — Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się, starły!

Śmierci wygląda z upragnieniem, bo dusza jego całkiem straciła moc w walce życiowej. Więcej nawet, bo śmierć przenosi nad życie pełne zawodów, uważa ją za dobrodziejstwo i dla wnuka modli się o śmierć młodą:

Boże! coś mi rozkazał spełnić kielich życia
I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia!
Jeśli względów Twojego miłosierdzia godna
Cierpliwość, z którą gorycz wychyliłem do dna,
Jedynej, lecz największej śmiem żądać nagrody:
Pobłogosław wnukowi — niechaj umrze młody!

Uczucie pustki i osamotnienia po stracie ukochanej jest zbyt głębokie i silne, żeby inne strony życia mogły je zrównoważyć. Ta myśl tak gó-

ruje nad innemi w umyśle poety, że ją powtórnie wypowiada w balladzie o zaklętym młodzieńcu, którą dziecię śpiewa starcowi.

Gdy dla zaklętego młodzieńca przyszła chwila wybawienia, gdy mocą czarów mógłby wrócić między żywych, wyrzekł się tego szczęścia, ponieważ nie mógł go dzielić z ukochanemi i drogiemi osobami:

. . . . . westchnął, lice zbladło
I zalał się łez strumieniem,
I pocałował zwierciadło...
I cały stał się kamieniem.

Ustałoby jednak życie na ziemi, gdybyśmy niczego nie mogli zapomnieć, gdyby pamięć o umarłych odbierała nam samym chęć do życia. Jest to już prawem natury, że młode życie wyciąga ramiona do przyszłości. Oto jak młodzież pociesza dziewczynę po stracie kochanka:

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz — i oczek, i dłoni szkoda.
Te oczy innym źrenicom błysną,
Te rączki inną prawicę ścisną.

Tak się zwykle dzieje. Patrz, śpiewają dalej młodzieńcy:

Od lasa para gołąbków leci,
Para gołąbków, a orlik trzeci;
Uszłaś gołąbko, spojrzyj do góry,
Czy jest nad tobą mąż srebrno-póry?

Nie płacz, nie wzdychaj w próżnej żałobie,
Nowy małżonek grucha ku tobie:
Nóżki z ostrogą, szyję mu wieńczy
Wstążka błękitna w kolorach tęczy.

To samo powtarza się na łące między kwiatami:

Róża z fijołkiem na letniej łące
Podają sobie dłonie pachnące;
Pieszy robotnik kosi dąbrowę,
Zranił małżonka, zostawił wdowę.

Płaczesz i wzdychasz w próżnej żałobie;
Wysmukły narcyz kłania się tobie
Jasną źrenicą, śród polnych dzieci,
Jak księżyc między gwiazdami świeci.

A więc, zwracają się młodzieńcy do dziewczyny:

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz — i rączek i oczu szkoda,
Ten, po kim płaczesz, wzajem nie błyśnie
Okiem ku tobie, ręki nie ściśnie.

Ciemny on krzyżyk w prawicy trzyma,
A miejsca w niebie szuka oczyma,
Dla niego na mszę daj, młoda wdowo,
A dla nas żywych piękne daj słowo.

Do starca zaś zwracają się młodzieńcy z taką pociechą:

Nie tęsknij, starcze, prosimy młodzi,
Tęsknota sercu i myślom szkodzi;
W tym sercu dla nas żyją przykłady,
W tych myślach dla nas jest skarbiec rady.

Starca, narzekającego na opuszczenie, młodzi porównywają do dębu, który nie chce udzielić cienia młodym trawom i krzewom, dlatego tylko, że za jego czasów inne rosły kwiaty:

Nie wzdychaj, starcze, w próżnej tęsknocie!
Wielu straciłeś, zostały krocie.
Nie całe twoje szczęście jest w grobie
Nie tam są wszyscy, znajomi tobie:

Weź trochę szczęścia od nas szczęśliwych,
Szukaj umarłych pośród nas żywych.

Młodzież zostawia poeta między żywymi, na połowie drogi między wsią i cmentarzem, ale tych,

Kto, błądząc po życia kraju,
Chciał pilnować prostej drogi,
Choć mu los wedle zwyczaju
Wszędzie siał ciernie i głogi,

Nareszcie, po latach wielu,
W licznych troskach, w ciężkich nudach,
Zapomniał o drogi celu,
Aby znaleźć wczas po trudach.

Kto z ziemi patrzył ku słońcu,
Zmierzył niebo i gwiazd loty,
I nie znał ziemi, aż wkońcu,
Kiedy wpadł w otchłań ciemnoty;

Kto żalem pragnął wydźwignąć,
Co znikło w przeszłości tonie;
Kto żądzą pragnął doścignąć,
Co ma przyszłość w tajnym łonie;

Kto poznał błąd swój niewcześnie,
O gorszej myśląc poprawie,
Mruży oczy, by żyć we śnie
Z tym, czego szukał na jawie;

Kto marzeń tknięty chorobą,
Sam własnej sprawca katuszy,
Darmo chciał znaleźć przed sobą,
Co miał tylko w swojej duszy;

Kto wspomina dawne chwile,
Komu się o przyszłych marzy —

wzywa poeta:

Idź ze świata ku mogile,
Idź od mędrców do guślarzy....

bo dla tych niema już pocieszenia na ziemskim padole.

Historja nieszczęśliwej miłości przewija się jak wstęga w całym utworze. Wszak może dlatego wyłącznie on powstał, a przynajmniej te części *Dziadów*, które były napisane w okresie kowieńskim życia Mickiewicza. Wypuszczając w świat części II i IV, poeta nie krył się z tem, że zawierają one dzieje jego osobiste; jednak postaci, które stworzył, mają byt niezależny od tego, co się działo w rzeczywistości.

Mogli wiedzieć znajomi o stosunku Mickiewicza do Marji Wereszczakówny, przyjaciele znać tajemnicę jego serca, ale nie przenikali głębiej, niż on im sam na to pozwolił. Jak wiele dusz głęboko czujących, Mickiewicz zamykał się przed najbliższymi nawet, gdy chodziło o uczucia osobiste; przyjaciele znali tylko powierzchnię wód, głębiny zaś, w których szalała burza namiętności, były przed nimi ukryte. To też gdy Mickiewicz w samotnych chwilach bez świadków i bez myśli o kimkolwiek wybuchał żalem i rozpaczą, będąc tak szczerym i otwierając swą duszę, jak przed nikim tego nie czynił, — czytelnik, mając przed oczami Gustawa, zapominał o Adamie, który te bóle w milczeniu przecierpiał. Odtąd Gustaw i jego historja odłączyły się od osoby poety i żyją samoistnie.

Gustaw, którego dzieje opisuje poeta, nie należy do świata żywych; podobnie jak inne duchy, zjawiające się podczas obchodu zmarłych, i on przychodzi z tamtego świata.

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;

Na świecie jeszcze, lecz nie dla świata;
Cóż to za człowiek? — Umarły!

Poeta wskrzesza go pod postacią upiora, który za grzech popełnionego samobójstwa nieść musi tego rodzaju karę, że na dzień Zaduszny opuszcza mogiłę i w ciągu miesiąca błądzi między ludźmi, przeżywając na nowo wszystkie katusze miłości i kończąc znowu samobójstwem.

Umarły wraca na młodości kraje,
Szukać lubego oblicza.
Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata;
Usta i oczy stanęły otworem;
Na świecie znowu, ale nie dla świata;
Czemże ten człowiek? — Upiorem.

Gdyby nawet ludzie obojętni mieli tylko litość lub szyderstwo dla nieszczęsnego kochanka, luba nie powinna odeń odwracać głowy:

„Spojrzyj i przemów! Daruj małą winę,
Że śmiem do ciebie raz jeszcze powrócić,
Mara przeszłości na jedną godzinę
Obecne szczęście zakłócić.
Wzrok twój, nawykły do światła i słońca,
Może się trupiej nie ulęknie głowy
I może raczysz cierpliwie do końca
Grobowej dosłuchać mowy...."

W tej drugiej części, którą poprzedza *Upiór*, dopiero na końcu występuje Gustaw pod postacią milczącego widma, a jego ukochana pod postacią pasterki w żałobie.

Na zaklęcie Guślarza zjawia się naprzód dwoje dzieci:

Do mamy lecim, do mamy,
Cóż to, mamo, nie znasz Józia?

Ja to, Józio, ja, ten samy,
A to siostra moja Rózia.
My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiej niż u mamy.

. . . .

Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga.
Ach, mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

Dzieci skarżą się, że, nie zaznawszy goryczy na ziemi, nie mogą dostąpić szczęścia w niebie, proszą więc o dwa ziarnka gorczycy:

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że wedle Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Guślarz wygłasza nowe zaklęcia, zjawia się inna mara:

Jak kość na polu wybladły;
Patrzcie, patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice,
Oczy na głowę wysiadły,
Świecą jak węgle w popiele:
Włos rozczochrany na czele;
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc, miotłę ognia ciska,
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

Pan, nielitościwy za życia, teraz żebrze o wieczne potępienie jak o łaskę, bo sroższe od mąk piekielnych katusze sprawiają mu wspomnienia własnych czynów:

Stokroć wolę pójść do piekła,
Wszystkie męki zniosę snadnie,

Wolę jęczeć w piekle na dnie,
Niż z duchami nieczystemi
Błąkać się wiecznie po ziemi,
Widzieć dawnych uciech ślady,
Pamiątki dawnej szkarady.

. . . .

Lecz niestety! wyrok taki:
Że dopóty w ciele muszę
Potępioną włóczyć duszę,
Nim kto z was, poddani moi,
Pożywi mnie i napoi.

Lud podaje mu strawę, lecz tę chwytają w lot sowy, puhacze i kruki,—widma zatraconych przez nielitościwego pana dusz chłopskich,—przy okropnym śpiewie:

Hej, sowy, puhacze, kruki
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

Miara zbrodni okrutnika była zbyt wielka jemu miłosierdzie ludzkie pomóc nie zdoła:

Tak musisz dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenie Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

Mocą zaklęcia znika widmo potępione... Teraz Guślarz wzywa

. . . . pośrednie duchy,
Coście u tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy
Żyły z ludźmi pospołu,
Lecz od ludzkiej wolne skazy
Żyłyście nie nam, nie światu,

a które za to pokutują między niebem i ziemią, gdyż na ziemi dla nich wszyscy obcy, a do nieba prowadzi droga ciernista, której one unikały.

Ukazuje się widmo pięknej dziewczyny, pasterki, która tak mówi o sobie:

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski;
Imię moje u was głośne,
Że, chociaż piękna, nie chciałam zamężcia
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,
Umarłam, nie znając troski
Ani prawdziwego szczęścia.

Opowiada dalej z żalem, że, będąc pasterką,

Często kiedy sama pasę,
Do tych pasterzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę;
Lecz żadnego nie kochałam.

Zato po śmierci dręczą dziewczynę nieznane niepokoje i pragnienia; nie może się wzbić do nieba, ani dotknąć ziemi. Jadło i napój, które lud jej ofiaruje, nic jej nie pomogą:

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

W końcu Guślarz wzywa wszystkie dusze razem i dla nich rzuca w każdy róg kaplicy garści maku i soczewicy. Nim jednak tłum wiejski po skończonym obrzędzie odemknął drzwi kaplicy, w tem miejscu, gdzie na grobie siedziała pasterka w żałobie, rozstępuje się podłoga i ukazuje się blade widmo młodzieńca:

Zwraca stopy ku pasterce,
Białe lice i obsłony,
Jako śnieg po nowym roku:
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie, ach patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak jakby pąsowa wstęga,
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga.

Darmo Guślarz zapytuje widmo, czego pragnie na obchodzie Dziadów, darmo powtarza zaklęcia; widmo nie odpowiada i nie znika:

Darmo proszę, darmo gromię,
On się przekleństwa nie boi,
Dajcie kropidło z ołtarza...
Nie pomaga i kropidło,
Bo utrapione straszydło
Jak stanęło, tak i stoi,
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.

Wtedy Guślarz spostrzega, że pasterka nosi żałobę, choć jej mąż i rodzina zdrowa. Spostrzega na jej licach uśmiech blady i zapytuje:

Czego uśmiechasz się, czego?
Co w nim widzisz wesołego?

Ale smutna pasterka nie odpowiada, a blade widmo milczy, — każe więc wyprowadzić kobietę z kaplicy. Lecz, rzecz straszna!...

Przebóg, widmo kroku rusza!...
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie.

Na tem kończy się część II *Dziadów*. W części IV odnajdujemy tego samego młodzieńca, lecz

w jakże odmiennej postaci! W części II zjawia się na wiejskim obchodzie Dziadów z niemym wyrzutem dla swej nieszczęsnej. Zjawia się jako mara, która odezwać się do ubóstwianej nawet poza grobem nie może. W części IV ten duch, ta mara przemawia, nawet zjawia się jedynie w tym celu, żeby ziemską swą historję powtórzyć, odegrać raz jeszcze ku nauce, ku przestrodze innych. Nieszczęśliwy, tułający się po ziemi kochanek stuka do drzwi księdza w chwili, gdy ten, otoczony dziatkami, rozpoczyna modlitwy za dusze czyśćcowe. Na stole świece, przed obrazem Najświętszej Panny pali się lampa. Na dworze noc głucha. Wchodzi biedny Pustelnik. Dzieci, przerażone jego widokiem, wołają w śmiertelnej trwodze:

Ach, trup! trup! upiór ladaco!
W imię Ojca! — zgiń, przepadaj!

Ksiądz uczuwa również pewną trwogę, ale po chwili zdaje się poznawać w tym nocnym gościu osobę dawno niewidzianą — pyta więc o ród i nazwisko. Na pytanie swoje ksiądz otrzymuje dziwną odpowiedź:

O tak, tak, byłem tutaj — o dawno! za młodu!
Przed śmiercią! — będzie trzy lata!
Lecz — co tobie do mego rodu i nazwiska?

Ziębnięty i przemoczony, na prośbę, by odpoczął, pogrzał się przy kominie, przybysz wybucha straszną skargą:

Pogrzej się! — dobry księże, arcyprzednia rada!
(Śpiewa, pokazując na piersi).
Nie wiesz, jaki tu żar płonie,
Mimo deszczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!
. . . .

Stopiłby kruszce i głazy,
(*Pokazując na kominek*).
Gorszy niż ten tysiąc razy,
Miljon razy!
I śnieg tonie, i lód tonie,
Z piersi moich para bucha,
Ogień płonie!

Łatwo ksiądz domyśla się przyczyny tego cierpienia z żałosnej śpiewki przychodnia:

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy;
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy
W cichym, własnym domu!

Ach, miłość doprowadziła go do tak smutnego stanu, że nawet dzieci, ochłonąwszy ze strachu, śmieją się z niego:

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?
Jak strach, albo rozbójnik, co to mówią w bajce;
Z różnych kawałków sukmany,
Na skroniach trawa i liście,
Wytarte płótno, przy pięknej kitajce?

. . . .

Jaka to na sznurku blacha?
Rósne paciorki, wstążek okrajce?
Cha, cha, cha, cha!
Dalibóg, waspan wyglądasz na stracha!
Cha, cha, cha, cha!

Słysząc ten śmiech, Pustelnik wraca jakby do przytomności i mówi ze smutkiem:

O dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinniście!
Słuchajcie: znałem pewną kobietę za młodu,
Tak jak ja nieszczęśliwą, z takiego powodu.
Miała takąż sukienkę i na głowie liście.
Gdy weszła do wsi, cała wieś nawałem,

Urągając się z jej biedy,
Pędzi, śmieje się, wykrzyka,
Podrzeźnia, palcem wytyka;
Ja się raz tylko, raz tylko zaśmiałem!
Kto wie, jeśli nie za to? — Słuszne sądy Boże
Lecz któż mógł przewidzieć wtedy,
Że ja podobną sukienkę włożę?
Ja byłem taki szczęśliwy!

Przed księdzem, który go strofuje, że nie godzi się oddawać zbytniej rozpaczy, Pustelnik maluje stan swego ducha w chwili, gdy go nieszczęście dotknęło:

Wszakże lubisz książki świeckie?
Ach, to są książki zbójeckie!

(*Ciska książkę*).

Młodości mojej niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł
I wyłamały do góry,
Że już nie mogłem nadół skręcić lotu.
Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki,
Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźni pianki
Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie

. . . .

I znalazłem ją nakoniec!
Znalazłem blizko siebie,
Znalazłem ją — ażebym utracił na wieki!

Odtąd duch nieszczęśliwego kochanka wciąż krąży koło tej istoty, przestaje żyć już dla świata, mając za towarzysza gałąź jedliny. Ta gałąź przypomina mu ostatnie „bądź zdrowa“.

Nieczuła, lepsza od tych niby czułych ludzi.
Jej płacz mój nie rozśmiesza i skarga nie nudzi;
Jedna mi pozostała z przyjaciół tak wielu!

I została mu jeszcze jedna pamiątka: zawiązka z warkocza —

Zawiązka miękka... z warkocza dziewicy...
Lecz skorom tylko położył na łonie,
Opasała mię wkoło nakształt włosienicy,
Pierś przejada, w ciało tonie,
Tonie, tonie i wkrótce przetnie oddechy!
Wiele cierpię! — ach, bo też wielkie moje grzechy!

Tem srożej cierpi nieszczęśliwy, że z ust kochanki usłyszał wyrok srogi:

Bądź zdrów! odpowie zcicha — ledwie posłyszałem,
Zapomnij!... Ja zapomnę... O, rozkazać snadno!
Rozkaż luba twym cieniom, niechaj wraz przepadną
I niech zapomną biegać za twym ciałem!...
Rozkazać snadno!
Zapomnij!!!

Jak zapomnieć, gdy to uczucie było mu wszystkiem, było jego mocą i siłą: wszak on tak ją kochał, tak uwielbiał nabożnie:

Ach, ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek,
I gdy dobranoc daję przy księżyca blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię!

Zegar zaczyna bić; świeca na stole gaśnie. Pustelnik jakby wraca do przytomności. Wówczas ksiądz poznaje w nim swego ukochanego ucznia. Tak, to on, Gustaw, Gustaw, uczeń ukochany! Choć Gustaw odpowiada uściskiem serdecznym,

lecz, niestety, nie o takiem spotkaniu marzył ksiądz. Bo cóż z tego młodzieńca zostało? Nic — nawet jednej łzy w oku, którąby mógł gościnność serdeczną odpłacić:

> Ale ja, przebłądziwszy te kraje pamiątek,
> Gdzie tyle łez zabiera każdy znany kątek,
> I resztę uczuć, i łzy wylałem ostatnie...

Z rodziny, z przyjaciół koła nie został nikt. Kochanka, mój Boże, — zapomniała, nawet ostatni zakład pamięci odrzuciła jak zbędny szczątek. Gdy nocą ciemną, wiedziony niepokonaną siłą, zabłądził pod okna ukochanej, ujrzał ucztujących gości weselnych:

> Wściekłość mię oślepiła, podparłem ramiona,
> Chciałem szyby rozsadzić... i bez duszy padłem...,
> Myślałem, że bez duszy — tylko bez rozumu!

A wszak ona była jakby dla niego przeznaczona. Natura stworzyła ich oboje podobnymi ze skłonności, z wieku, z powabu, z wejrzenia; Bóg, zda się, przeznaczył ich dla siebie, a ona te więzy potargała. Ona przełożyła bogatego pana... W rozpaczy i wściekłości chwyta Gustaw za sztylet — lecz wnet opamiętywa się:

> O nie, nie — nie! żeby ją zabić,
> Trzeba być trochę więcej, niż pierwszym z szatanów!...
> Precz to żelazo! Niech ją własna pamięć goni;
> Niech ją sumienia sztylety ranią!

Innej użyje broni, pójdzie, lecz pójdzie z niemym wyrzutem:

> Tylko na nią cisnę okiem,
> Ha! okiem! okiem jadowitej żmii!

Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka;
Nawskroś okiem przebiję!
Wgryzę się, jak piekielny dym, pod jej powieki
I w głowie utkwię na wieki;
Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził
I w nocy ją ze snu budził.

Mam-że jednak do tego prawo? pyta się Gustaw. Nie, nawet do zemsty nie dała mu powodu. Wszak nie wabiła go ku sobie, by potem odtrącić, nie obiecywała, przysiąg nie czyniła. Ten ogień, który serce trawi—sam wzniecił, sam podsycał; przystoi-ż teraz się skarżyć?

Wszystko mi, wszystko niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać:
Żebrać litości nie będę umarły!

Pozostaje mu jedynie zapomnieć, lecz zapomnieć nie może nawet w chwili, gdy sobie życie odbiera, — gdyż i wtedy rysy drogie stają mu przed oczyma. Wybija na zegarze godzina, świeca druga gaśnie, Gustaw zatapia sztylet w swem sercu.

To drugie hasło!
Czas ucieka, życie mija
I drugie światło zgasło
Koniec boleści.

Ksiądz przerażony rzuca się na ratunek, ale go Gustaw uspakaja: To, co się raz stało, powtórzyć się nie może: To, co ksiądz widział, było omamieniem:

Daję tobie słowo,
Że aż do dnia sądnego sztylet w pochwach będzie,
O ranach próżna troska: wszak wyglądam zdrowo?

Inną bronią został Gustaw zabity:

Są kosztowne bronie,
Których ostrze przenika i aż w duszy tonie,
Przecież widomie nie zaszkodzą ciału.
Taką bronią po dwakroć zostałem przebity.
(*Po pauzie, z uśmiechem*).
Taką bronią za życia, są oczy kobiety.
(*Ponuro*).
A po śmierci—grzesznika cierpiącego skrucha!

Więcej nic księdzu wyznać nie może, ale mu powie, jakie zamiary przywiodły go na świat. Wszak to dzień Zaduszny. Lud zwykł święcić Dziady, czemuż kościół broni tej uroczystości? Więcej znaczy jedna łza szczerze wylana, niż udane żałoby! Są dusze, które potrzebują pociechy — tym Dziady przynoszą ulgę. Dla siebie Gustaw nic nie żąda. On, za życia kochance oddany i po śmierci do niej pozostaje przykuty, nie może spaść do piekła, ni wnijść do nieba, dopóki ukochana zostaje na ziemi:

Długo jeszcze po świecie błąkać się potrzeba,
Aż ją Bóg w swoje objęcia powoła;
Natenczas, śladem lubego anioła,
Cień mój błędny wkradnie się do nieba.

Zegar zaczyna bić, Gustaw śpiewa:

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi odrazu.

Zegar przestaje bić, kur pieje, lampa przed obrazem gaśnie, Gustaw znika.

Na tem kończy się część IV *Dziadów*. Znając te dwie części całkowite t. j. drugą i czwartą,

a pierwszą z ułamków, możemy odtworzyć sobie myśl przewodnią, która przyświecała poecie przy tworzeniu tego dzieła.

W owym czasie, gdy rozum najwyżej stawiano, a życie codzienne praktycznym tylko celom było oddane, w poezji ani ducha, ani głębokiego, szczerze ludzkiego uczucia nie było. Poeta chciał zapewne skierować serca ludzkie w inną stronę i w tym celu powziął myśl *Dziadów*, gdyż według wierzeń ludowych, wtedy duchy, wyzwolone z ciała, żywym tajemnicę i zagadki innego świata odkryć mogą. To się tyczy części drugiej, a po części i pierwszej. Ale w pierwszej i czwartej odmalował także co innego, a mianowicie smutną historję dwóch dusz pokrewnych sobie umysłem, wiekiem i skłonnościami, a rozdzielonych biegiem życia, względami rachuby praktycznej. Przedstawiając miłość kochanka czystą i głęboką, ale namiętną i gwałtowną, okazał taką potęgę uczucia, jakiej przykładu nie spotykamy nigdzie, chyba u największych poetów świata.

Że poeta w ten sposób pragnął oddziaływać, niechaj świadczy utwór, który powstał w tych czasach, gdy Mickiewicz przebywał w Kownie, ale którego ze względu na cenzurę nie ogłosił w pierwszych dwóch tomikach. Jest to *Oda do młodości*. W poczuciu siły, rozsadzającej piersi, w przekonaniu o wszechpotędze uczucia ludzkiego, natchniony poeta woła:

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy.
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła!..

Temu, kogo wiek przygniata, wolno widzieć tylko to, co najbliższe, — lecz nie tego mamy się spodziewać od młodzieży:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Wstrętne jest życie samolubów, fala od nich stroni i oni od fali; nikt ich znać nie chce, nikogo nie obchodzi ich zguba. Szczęście jest w jedności; śmierć nawet jest miła, gdy się ją dla dobra innych ponosi. Wiara i czucie są tak potężne, że mogą świat pchnąć na inne, lepsze drogi.

Takie były pragnienia i dążenia, takie myśli i uczucia wielkiego poety, który ogłoszeniem dzieł swoich budził ducha w młodem pokoleniu. Taka była jego dusza zamknięta w sobie, spokojna, lecz namiętna, silna i głęboka. Skazany, jak już wiemy, na obowiązki, nie odpowiadające usposobieniu, głęboko dotknięty pustką, jaką uczuł w sercu po wyjściu za mąż Wereszczakówny, pragnął najusilniej opuścić chwilowo strony ojczyste, rozerwać umysł skołatany; gdy zupełnie niespodzianie los jego został rozstrzygnięty przez wypadki całkiem nieprzewidziane.

V.

Z wielu innymi kolegami i przyjaciółmi Mickiewicz został aresztowany w chwili, gdy czynił zabiegi o otrzymanie pasportu za granicę. Powodem aresztu było należenie do towarzystwa

Filaretów. Wraz z przyjaciółmi i kolegami osadzony w klasztorze po-Bazyljańskim, choć wszelkie jego projekty wniwecz obrócone zostały, nie upadł na duchu, ale owszem stał się wesół, jak sam powiada. Śledztwo trwało długo, obwinieni przesiedzieli przeszło rok w więzieniu, a podczas tego czasu serdeczne już dawniej między kolegami stosunki zacieśniły się jeszcze więcej. Mickiewicz otrząsnął się ze swoich cierpień osobistych, stał się więcej wylanym dla swej przybranej rodziny więziennej. Gdy nadeszły wyroki, skazujące dwudziestu oskarżonych na kary rozmaitego stopnia, poeta znalazł się w ich liczbie. Czekając na rozkaz wyjazdu do Petersburga, skąd skazani mieli być rozesłani do rozmaitych gubernij Rosji, Mickiewicz zamieszkał w Wilnie i spędzał cały czas w towarzystwie przyjaciół, oczekujących, podobnie jak on, rozstrzygnięcia swego losu. Najzupełniej pewny, że na długo będzie zmuszony pożegnać strony rodzinne i ludzi, w pośród których upłynęła mu młodość, tem goręcej odczuwał przywiązanie do osób, z któremi go łączyły stosunki przyjaźni. Przyzwyczajony jednak mężnie uczucia swe opanowywać i ukrywać, wszędy ukazywał twarz spokojną, a na zebraniach przyjacielskich był nawet i pogodny, i wesół. Ale przyszła wreszcie chwila wyjazdu; najczulej przez wszystkich żegnany, Mickiewicz opuścił Wilno, kierując się w drogę ku Petersburgowi.

W życiu poety zaczyna się okres, trwający przeszło cztery lata, podczas którego ani rozporządzić sobą nie może, ani też wie, jak nim losy pokierują, — okres zupełnej niepewności tak pod względem planów na przyszłość, jak pod względem bytu chwilowego. Nie zapominajmy bowiem,

że Mickiewicz wciąż za należącego do ciała nauczycielskiego był uważany i musiał podlegać rozporządzeniom władzy, która losów jego ostatecznie jeszcze nie zdecydowała W takiem położeniu każdy inny musiałby się czuć źle, ale Mickiewicz zbyt wielkie skarby duchowe w sobie nosił, żeby zewnętrzne okoliczności mogły zachwiać równowagą jego ducha.

W Petersburgu, nic nie mogąc uczynić we względzie swej sprawy, Mickiewicz oddawał się poznawaniu miasta i zabierał znajomości z domami polskiemi, do których miał polecenia lub był wprowadzony przez znajomych. Dopiero po niejakim czasie postanowiono, że Mickiewicz, Jeżowski i Malewski mają się udać do Odesy. Pierwsi dwaj, jako nauczyciele w liceum Richelieu'go, ostatni jako urzędnik jenerał-gubernatora.

Skoro jednak przybyli na miejsce, okazało się, że nie mogą liczyć wcale na ustalenie swego losu, że nawet niepodobna przewidzieć, kiedy się skończy ten stan niepewności. Wszystkie posady profesorów w liceum były obsadzone; powiedziano więc im, że należy czekać. Nagle przyszedł rozkaz, że zesłańcom niewolno przebywać ani w Odesie, ani w żadnej z południowych gubernij Rosji, a ponieważ pozostawiono im wolny wybór miejscowości, do którejby się chcieli udać, wybrali Moskwę. Zanim przyszła odpowiedź, upłynęło sporo czasu, prawie rok cały.

Przez ten czas poeta, uważając się jakby ciągle na wyjeździe, chętnie korzystał z towarzystwa, jakie się w Odesie znalazło. A mieszkało tam podówczas dużo rodzin polskich, między innemi państwo Sobańscy, w których domu Mickiewicz często bywał. Był nawet czas, kiedy czuł

silny pociąg do pani domu, która mu wiele ze swej strony okazywała życzliwości. W jej to i jej męża oraz brata towarzystwie odbył wycieczkę do Krymu, z której obrazy uwiecznił potem w swoich *Sonetach Krymskich*. Życie światowe i zmiana miejsca wpłynęły na zmianę nawet powierzchowną poety. Zdrowia nigdy nie był silnego, a cierpienia odbiły się na jego wyglądzie i usposobieniu. Było ono przeważnie pochmurne, chwilami tylko ożywiał się pod wpływem towarzystwa. Wtedy wrodzona mu żywość oswobadzała się od przygniatających myśli i świeciła w całej ozdobie. Wiersze, które poświęcił najprawdopodobniej Sobańskiej, dwojako przedstawiają jego uczucia. W chwilach zapomnienia tchną żarem namiętności, które budziły się w młodym poecie z żywiołową, niepohamowaną siłą; w chwilach zastanowienia żal i smutek powlekają ten stosunek pomiędzy światową damą, żądna uciech i rozkoszy, a poetą, po którego duszyześlizgiwały się zmysłowe upojenia, zostawiając tylko uczucie smutku. Sam poeta tak określa ten stosunek w pamiętniku swej znajomej:

Różnym losem rzuceni na świata powodzie,
Spotykamy się z sobą, jak dwie różne łodzie.
Twoja barwą nowotną i pancerzem lśniąca,
Bisiorem wiatry chwyta, nurt piersią roztrąca;
Moja, na woli burzy i morskich straszydeł,
Wyrzucona bez steru, ledwo z resztą skrzydeł,
Gdy jej owad tajemny nawskroś piersi porze,
Gdy gwiazdy chmurą zaszły, kompas ciskam w morze.
Rozminiem się! I kiedyż w jedną pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.

Cały ten pobyt w Odesie, jakby jeden długi przystanek na etapie życia, które losy naszemu

największemu genjuszowi nakreśliły, smutkiem napełniał poetę, gdy w dniu odjazdu zastanawiał się nad sobą:

Jak po błoniu, kwitnącem kolorami tęczy,
Przelatuje samotnie mdły kwiatek pajęczy,
Zdmuchniony gdzieś daleko z uwiędłej gałęzi,
Chociaż napotka różę i w majowej więzi,
Pragnąc odpocząć, martwą zaplącze się dłonią,
Znowu go wichry zedrą i dalej pogonią:
Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
Nosiłem przez te ludne place i ulice,
I roje pięknych niewiast spotykałem codzień;
Chcą mię poznać—dlaczego?—że jestem przychodzień
Dziatwa pędzi motyla, póki zdala świeci;
Złowi — spojrzy i ciska: niechaj dalej leci!
Lećmy! Szczęściem zostały pióra do powrotu,
Lećmy i odtąd nigdy nie zniżajmy lotu!

My jednak, rozpatrując się w tym krótkim okresie życia poety, nie możemy, jak on, uważać go za obniżenie lotu. O tych zaś chwilach, które wspomina, raczej można powiedzieć to, co powiedział w innem miejscu:

Podobno na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

Tak było z Mickiewiczem. Pobyt w Odesie skłócił na jakiś czas jego ducha, namiętność zatruła mu niejedną chwilę; lecz gdy przemówił w nim poeta, fala namiętności, uderzywszy o granit jego piersi, rozprysła się i pogrążyła w otchłani niepamięci, — a on stał tak silny, jak przedtem,

jeszcze więcej męski i spokojny, i wydał godny siebie hymn przyrody, który nazwał *Sonetami krymskiemi.*

VI.

Przyszło nakoniec pozwolenie udania się do Moskwy i poeta puścił się w dalszą drogę. Przybywszy na miejsce, został przyjęty do biura jenerał-gubernatora Golicyna. Zajęcia biurowe niewiele zabierały mu czasu, tembardziej, że nie wskazano mu żadnych określonych obowiązków, a polecono tylko do nich się przygotowywać. Mickiewicz zamieszkał razem z Malewskim i Jerzym Budrewiczem. Dopóki nie rozpatrzył się w stosunkach, żył w małem kółku swych znajomych wileńskich, których tu było kilkunastu. Jedni znaleźli zajęcie i pchali taczkę żywota, nie ustaliwszy i nie mogąc ustalić swego bytu; niepewni, co z sobą uczynić, pędzili żywot w kłopotach materjalnych. W tak niepomyślnych okolicznościach, jakiemi są osamotnietnie, podzielane z małem kółkiem przyjaciół i pozbawienie wszelkiej możliwości rozrządzania swoim losem, Mickiewicz nie upadał na duchu: „męski charakter, zasady, a nawet miłość własna nie dozwala mu być słabą ofiarą okoliczności“. Porównywając jakby w myśli swoją niedawną przeszłość i smutek młodzieńczy, któremu ulegał podczas pobytu w Kownie, tłumaczy swoje obecne usposobienie w ten sposób: „Niejeden dziwak w pomyślności sam sobie troski i biedy wynajduje, a w smutnem położeniu, przez dumę albo również dziwactwo, stara się jakkolwiek pasować z losem“. „Prawda“ — powiada w innem

miejscu w liście do Czeczotta i Zana, — że gdybym powrócił do Litwy naszej, możebym jak spuszczona sprężyna spadł na dawną kwintę i kiedyby mi nikt zewnątrz nie dokuczał, tobym sam sobie jaką biedę wynalazł i smucił się, gryzł znowu. Ja zacząłem być wesół u Ojców Bazyljanów, a spokojny i ledwie nie rozumny w Moskwie". W tym duchu starał się też oddziaływać na towarzyszy, którzy w Moskwie pozostawali, aby rozpędzić ich troski i podtrzymać równowagę tak do życia potrzebną.

Dla przyjaciół, którzy znajdowali się w Kazaniu i Orenburgu, w stokroć gorszych od niego warunkach, ma zawsze słowa słodkie, otuchę wzbudzające, i twarz pogodną, opromienioną uśmiechem przywiązania. Troszczy się o ich potrzeby materjalne i ze szczupłych swoich funduszów stara się to książki potrzebne im posłać, to w inny sposób los osłodzić. Męski i stały, dumny i niezależny wobec obcych, dla przyjaciół ma wyrozumiałość i delikatność kobiecą, nawet w okolicznościach, gdy wskutek rozgoryczenia losem wynikają między nimi nieporozumienia: „Czytałem więc listy i odpisy. Pomyślałem: gdyby anioł jaki patrzył na te ich kłótnie i przeprosiny, to by się gniewał, śmiał i płakał razem. Mnie na te wszystkie zanosiło się uczucia; ale, nie będąc aniołem, nietylko gniewałem się (jeśli można gniewem nazwać), ale nawet zupełnie po ludzku kłócić się zaczynam". I przemawia w słowach prostych, tak dobrych, jak ci, do których trafić mają, godząc poglądy, które mu się wydały niesłuszne.

Po za temi stosunkami, jakby rodzinnemi, tak bowiem blisko byli złączeni ze sobą dawni przyjaciele i koledzy, poeta nie zaniedbuje przyja-

ciół i znajomych na Litwie, choć stosunki urywają się wskutek oddalenia i biegu czasu. Nawiązuje korespondencję w Lelewelem i pilnie dopomina się o pisma i książki polskie. Odyniec, młodszy od Adama, ale z tego samego uniwersytetu i członek tegoż koła kolegów, gorliwie mu dostarcza wiadomości, a wzamian otrzymuje rady i cenne przestrogi względem działalności literackiej, której się poświęcił. Choć Mickiewicz najczęściej oskarża się w owych czasach o lenistwo, przecież w ciągu pierwszego roku pobytu w Moskwie przygotował do druku *Sonety* i napisał *Konrada Wallenroda*. Imię jego nabierało coraz większego rozgłosu. Nie mógł pozostać w pierwotnem osamotnieniu, tembardziej, że od towarzystwa się nie uchylał. W Moskwie w owe czasy literaturą piękną zajmowano się gorliwie. Na czele poetów jaśniał *Puszkin*. Przyjęty życzliwie przez koło arystokracji i literatów, Mickiewicz odpłacał przychylnością przyjaźń wielu osób, a między innemi szczególniej księżny *Wołkońskiej*, literatki i artystki, która wielką otaczała go życzliwością. „Przeklęci, którzy nic nie płacą...", pisze poeta o sobie. „Bywam i w salonach, ale tam nie bardzo figuruję, nie dlatego, żebym nie chciał, ale że nie umiem. Bo zaprawdę powiadam ci, że można tańczyć, grać, śpiewać i być grzecznym, nie zostając pasibrzuchem i można być pożytecznym dla drugich, a to jest największą nagrodą wszystkich starań w tak małych drobnostkach". W towarzystwie Mickiewicz był miły i poszukiwany, ujmował sobie ludzi swem szlachetnem obejściem, a zachwycał rzadkim darem wypowiadania na zaproszenie obecnych krótszych lub dłuższych utworów, które olśniewały bogactwem poezji świeżej, niezwykłej i porywającej.

VII.

Sonety, ogłoszone przez Mickiewicza w końcu roku 1826, podzielone zostały na erotyczne czyli opiewające miłość, i krymskie, malujące obrazy Krymu i uczucia, w duszy poety wywołane temi obrazami. Wiele sonetów erotycznych, napisanych w części jeszcze przed wyjazdem do Odesy, poświęca dziejom swego uczucia do Marji Wereszczakówny, snując coraz nowe, a zawsze piękne obrazy rozkochanego serca; pozostałe, napisane w Odesie, malują miłość więcej zmysłową, która daje upojenie, ale pozostawia też gorycz — zawód i rozczarowanie. To też poeta, otrząsnąwszy się z tych uczuć ulotnych, mówi:

> Rzucałem w bezdeń waszej chęci
> Dary, pieśni i we łzach roztopioną duszę;
> Dziś z hojnego — jam skąpy, z czułego — szyderca.

W te stosunki bez jutra postanawia nie kłaść swego serca, choć wie, że niezawsze się przed niemi obronić potrafi:

> A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
> Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę,
> Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko — prócz serca.

W *Sonetach krymskich* Mickiewicz spowiada się także ze swoich uczuć i wrażeń, ale i uczucia i wrażenia są innego rodzaju, niż w Sonetach erotycznych. W tych krótkich, czternastowierszowych utworach zostały zaklęte widoki rozległe przyrody bujnej i nieskrępowanej niczem, tudzież odmalowane stany ducha poety, gdy staje z niemi oko w oko. Zapomocą niewielu słów twórca

wywołuje przed naszemi oczami obrazy, rozciągające się do nieskończoności albo przygniatające swoim ogromem.

Oto jak opisuje step:

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi.

Zmrok zapada. Okiem podróżny szuka gwiazd na niebie.

Stójmy! — Jak cicho! — Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż ślizką piersią dotyka się zioła...
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy! Nikt nie woła...

W innym sonecie roztacza przed nami obraz morza podczas pięknej pogody, gdy powierzchnię jego wiatr zaledwie muska. Ta cisza doskonała i zupełna nie przynosi jednak ukojenia duszom zbolałym, a z piersi poety wyrywa się skarga:

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony;

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w nim szpony.

Chwilami tylko duch poety daje się porwać żywiołom; wtedy, zapominając o troskach, twórca żyje tem samem życiem, co one:

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem!

Ale trwa to krótko.—Najczęściej smutek jest jego towarzyszem nieodstępnym. W chwili, gdy wątłym budowom rąk ludzkich grozi zniszczenie, gdy zrywa się burza, gdy

> . . . . na mokre góry,
> Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
> Wstąpił gienjusz śmierci i szedł do okrętu,
> Jak żołnierz szturmujący w połamane mury,

wtedy, gdy dusze słabe mdleją z trwogi, on patrzy śmierci w oczy bez strachu, lecz ze smutkiem:

> Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
> I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
> Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

Słowa, w których oddaje poeta piękności widoków, nasuwających się podróżnikowi, budzą w czytelniku podziw. Taki jest opis gór, jak się przedstawiają ze stepów, taki opis Bakczysaraju [1]), Ałuszty [2]), Czatyrdahu [3]), drogi nad przepaścią w Czufut-Kale [4]), góry Kikineis, ruin zamku w Bałakławie [5]), lub widoku z Ajudahu. Ale gdy oko

---

[1]) W dolinie, otoczonej ze wszech stron górami, leży miasto Bakczysaraj, niegdyś stolica Girajów, chanów krymskich.

[2]) Ałuszta — jedno z miejsc najrozkoszniejszych Krymu. Tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą i podróżny w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze zielonych.

[3]) Czatyrdah — najwyższa w pasmie gór Krymskich na brzegu południowym; daje się widzieć zdaleka, niemal na 300 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiej chmury sinawego koloru.

[4]) Miasteczko na wyniosłej skale; domy na brzegu stojące mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieżka, wiodąca na górę jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samem mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały; spojrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmiernej.

[5]) Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowanego niegdyś przez Greków, przychodniów z Miletu. Później Genueńczycy wznieśli na tem miejscu twierdzę Cembalo.

zachwyca się temi wspaniałemi obrazami, wyobraźnia buja w bezmiernej przestrzeni, smutny pielgrzym wybiega myślą chwilami daleko, na północ:

Litwo! Piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Gdy się ukazały *Sonety krymskie* w druku, jak to zwykle bywa, wywołały rozmaite sądy krytyków; ale ogół czytających, bez względu na opinję literatów, przyjął je z zapałem. Jak prędko się rozpowszechniły, jak je kupowano, widać z tego, że niebawem przedrukowano je we Lwowie. Wkrótce obcy zapragnęli przyswoić je własnej literaturze i poczęto tłumaczyć to dzieło na inne języki.

Mickiewicz pracował w tych czasach nad innym utworem, który też rychło podczas bytności w Petersburgu w roku 1828 wydrukował. Utwór ten nosi tytuł *Konrad Wallenrod,* a zawiera podobnie jak *Grażyna* ustęp z dziejów nieskończonych walk, jakie Zakon Krzyżacki staczał przez cały czas swego istnienia z Polską i Litwą, dopóki te dwa sprzymierzone narody nie zdołały przytępić mu kłów ostrych i wytrącić oręża z ręki.

Chwila dziejowa, którą poeta wybrał do odtworzenia, przypada na czas, gdy Zakon dosięgnął najwyższej potęgi materjalnej: ziemie jego, zdobyte orężem lub wyłudzone od mniej chytrych panów chrześcijańskich, zajmowały wielki obszar; bogactwa, nagromadzone w Marjenburgu, stolicy Zako-

nu [1]), były nieobliczone,—ale moralna strona tego zgromadzenia mnichów psuć się poczęła. Zbrodnią i łupiestwem wzbici w potęgę, rychło mieli ponieść zasłużoną karę dziejową w walce z młodem państwem sąsiedniem.

Oto treść utworu: Wielki mistrz umarł. Dygnitarze zakonni, zgromadzeni na obiór nowego, mają już upatrzonego kandydata.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy [2]).
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Otomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty.
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nietylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata:
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty,
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad Wallenrod, takie było imię rycerza, nie należał do ludzi światowych. Owszem, unikał tłumnych zabaw, a jeśli kiedykolwiek lica rozpogodził:

Były to rzadkie chwile zapomnienia
I wkrótce lada słówko obojętne,

---

[1]) Marjenburg, po polsku Malborg, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellończyka przyłączone do Rzeczypospolitej Polskiej, później oddane w zastaw margrabiom brandenburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów pruskich. W piwnicach zamków były groby wielkich mistrzów, niektóre dotąd ocalały.

[2]) Tak nazywały się klasztory, lub raczej zamki, po różnych krajach Europy porozrzucane.

Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenie namiętne;
Słowa: Ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucjatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły;
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły
I pogrążał się w dumy tajemnicze.

Jedną miał wadę: w samotności, gdy dręczyły go nudy lub zgryzota, przebierał miarę w napoju. Wtedy grał, śpiewał pieśni w nieznanym dla Niemców języku, pieśni grobowe — smutne i tęskne:

Lecz nigdy ręką w muzycznym zapędzie
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie,
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza struny po kolei,
Prócz jednej struny, prócz struny wesela;
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Jeżeli w takich chwilach zajdą go znienacka, Wallenrod lutnię rzuca i wybucha gniewem; tylko Halban, powiernik jedyny, umie go wtedy uspokoić:

Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi,
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.

Tyle wiedziano o człowieku, którego głos ogółu powołał na urząd wielkiego mistrza. Radość z tego powodu w Zakonie, bo wszyscy byli pewni, że pod nowym dzielnym wodzem Zakon okryje się sławą, będzie kroczył ku nowym zwycięstwom. Stało się inaczej.

Nadzieje próżne. Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju,
Litwa zagraża: Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani szle do boju.
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnej zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Litwini odżyli przy takich rządach i stali się teraz postrachem dla Niemców. Mistrz zdaje się o tem nie wiedzieć. Noce całe spędza u wieży, za której murami schroniła się przed laty pustelnica z cudzoziemskich krajów. Wiedzą o tem bracia i dziwią się, gdy do nich zaleci dźwięk obcej mowy, ale pytać nie śmieją. Trzy córki było u matki, — śpiewa pustelnica, — jej pierwszej żądano w zamężcie, gdy na Litwie zjawił się obcy młodzieniec. On powiedział dziewczynie o nieznanym Bogu, o kraju,

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po rozkosznem niebie.

On jej opowiadał o wierze świętej, o kamiennych gmachach, poświęconych Bogu, na których króluje krzyż święty. Niestety! ten krzyż, symbol miłości i wzajemnego darowania win, był znakiem złowróżbnym dla jej rodaków. Za nim bowiem szedł miecz i pożoga rodzinnych domów, za nim poszła ruina jej szczęścia. Jednak pustelnica się nie skarży, ona w miłości swej znajduje

nawet słowa pociechy dla kochanka, który mimowoli był sprawcą jej nieszczęścia:

> Ty skrzydły orlemi,
> Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie!
> Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
> Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
> Kto poznał Boga wielkiego na niebie
> I kochał męża wielkiego na ziemi?

A gdy Konrad wyrzuca z piersi skargę na los straszny, który zaprowadził ją do tej krainy kłamstwa i rozboju, a teraz każe powolnie umierać za kratą i pomocy żebrać...

> A ja słuchać muszę,
> Patrzeć na długą konania katuszę
> Stojąc zdaleka, i kląć moją duszę,
> Że w niej są jeszcze ostatki uczucia!

Ona, tym wybuchem rozpaczy dotknięta, tem narzekaniem urażona, gotowa na wieki zejść do głębin wieży i nigdy się nie ukazywać u okna, żeby nie budzić wyrzutów w duszy Konrada. Ale on przystać na to nie może — nie, raczej głowę o mur wieży rozbije. Pocóż więc męczyć się wzajemnie, odpowiada pustelnica:

> Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,
> Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,
> Na morzach piasku dwie rosy kropelki;
> Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu
> Znikniem na zawsze; ach, gińmyż pospołu!

Jej, oddanej sercem i duszą Konradowi, wystarcza, gdy mogą płakać razem, ale Konrad nie na to umierał dobrowolnie dla swego szczęścia. I trzebaż było, by w chwili stanowczej, gdy sta-

nął u steru władzy, kiedy stał się wszechmocny w Zakonie, zjawienie się ukochanej odbierało mu siłę i stanowczość.

Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo zamłodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem, lecz z męstwem! a dzisiaj, ja stary,
Dzisiaj powinność, rozpacz, wola Boża
Pędzą mię w pole, a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojej nie stracić rozmowy!...

Umilknął. A z wieży odpowiedziały mu tylko jęki.

Nadszedł dzień patrona Zakonu. Wielki mistrz dawnym obyczajem wydaje ucztę dla braci i gości Zakonu, którzy, zwabieni nadzieją zysku i sławy w zapowiedzianej wyprawie przeciwko Litwie, tłumnie dążą do stolicy Krzyżaków. Między gośćmi znajduje się niestety i książę litewski Witold, który u Krzyżaków szuka pomocy przeciw swemu bratu. Konrad siedzi chmurny. Z pogardą słucha wrzasków pijanego rycerstwa, które nie umie się bawić przystojnie. Za jego czasów, rzecze, inne były zwyczaje. Wówczas pieśń była towarzyszką uczty:

„Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem".

Wnet występują śpiewacy. Włoch otyły słowiczemi tony sławi męstwo Konrada, chwali jego pobożność; inny opiewa dzieje miłosne. Wallenrod pieśni ich nie słucha, a gdy skończyli, Włochowi, który jego tylko chwalił, rzuca trzos złota, trubadurowi każe szukać u dziewic nagrody. — On innej chce pieśni.

Innego chcę barda,
Zakonnik-rycerz innej chce piosenki:
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura, jak klasztorne ściany,
I tak ognista, jak samotnik pjany.

Na to wezwanie występuje sędziwy starzec w stroju Litwina, trzymając w ręku starą lutnię pruską i prosi o posłuchanie. A gdy cisza wkoło zaległa, on tak swe dzieje przedstawia: Dawniej śpiewał Litwinom i Prusakom, lecz odkąd dostał się do niewoli krzyżackiej, samotny, śpiewać nie miał komu... Płacząc po Litwie, oczy wypłakał; dziś, starzec niewidomy, nie wie nawet, w której stronie znajduje się miła ojczyzna. Wszystko, co zostało — to wspomnienia drogie. On dziś i tę broń złamie u nóg wroga.

Kiedy zaraza na Litwę ma uderzyć, zjawia się straszna morowa dziewica. To okropne zjawisko wróży powszechną zagładę.

Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący, ze strusiemi czuby,
I płaszcz szeroki krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!

Przed tymi wrogami nic się nie ostoi, chyba tylko pieśń gminna, pamiątek strażnica:

O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Taką powieść stary wajdelota chce zanucić Krzyżakom, ale przeznacza ją wyłącznie dla Wallenroda. On tylko może ją zrozumieć.

Pewnego razu, — śpiewa starzec, — wracając z wycieczki przeciwko Krzyżakom, Litwini przyprowadzili do Kowna dwóch rycerzy. Jeden młody i piękny, drugi—latami schylony. Młody rycerz, dzieckiem porwany przez Niemców, wychowywał się między nimi, lecz duszę zachował litewską. Budził ją i kształcił stary wajdelota, podobnie jak dziecko wzięty do niewoli przez Krzyżaków. Starzec w duszę dziecięcia wszczepił miłość ojczyzny, nienawiść ku cudzoziemcom. Dorósłszy, młodzieniec nieraz chciał uciekać do swoich, starzec hamował jego zapędy.

Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręże
I na polu otwartem bić się równemi siłami.
Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność. Dalej obaczym, co począć...

Ale gdy młodzieniec raz ujrzał zastępy braci, skoro usłyszał pieśni wojenne narodu, podskoczył ku swoim, starca za sobą prowadząc:

Jako sokół wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum
I puszczają, ażeby braci sokołów wojował:
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnym odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy..
Pójdź myśliwcze do domu, z klatką nie czekaj sokoła.

Kiejstut przyjął łaskawie obydwu rycerzy, zostawił na swoim dworze. Mile też widziała młodego rycerza córka Kiejstuta, Aldona. Młodzieniec

tak cudnie opowiadać umiał o wielkim Bogu, co włada za Niemnem i o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy! Chciał ją wszystkiego nauczyć,

Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.

Wzamian uczył się od niej słodkiej mowy ojczystej, a z temi wyrazami, które budzą coraz nowe uczucia, nauczył się kochać. Stary Kiejstut odgadł to i oddał mu córkę:

On tak potrzebny dla Litwy!
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko...
Pójdź, Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!

Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

Z pierwszemi promieniami wiosennego słońca ukazali się na Litwie Krzyżacy. Już Kowno oblegli. Litwini długo i mężnie bronili się, ale musieli ulec sztuce i sile. Kiejstut i Walter z pozostałym ludem schronili się do Kiejdan, a gdy i tę twierdzę Krzyżacy zdobyli, ukryli się ze swym ludem w lasach. Stary Kiejstut przywykł do tego rodzaju obrony; tak bronili ojczystej ziemi jego przodkowie. Lecz Walter, znając lepiej potęgę wrogów, wiedział, że prędzej czy później, gdy Niemcy kraj zaleją, w całej Litwie nie będzie miejsca bezpiecznego. Robak zwątpienia nawet w objęciach Aldony nie daje mu spokoju; nigdy nie bywał zbytnio wesoły, lecz teraz zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść.

Cały ranek przed domem, z założonemi rękami,
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,

Patrzy dzikiemi oczyma, w nocy porywa się ze snu
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.

A po głowie snują mu się myśli okropne. Darmo żona pociesza go i uspakaja. Tak, teraz bezpieczny jeszcze, póki ręka szablę utrzyma. Lecz gdy dożyje starości, gdy Bóg zdarzy pociechę z dziatek...

Wtem Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego!
Ja sam... możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota. —

Jeden Litwinom pozostał sposób pewny, lecz okropny zarazem—o niego żona nawet pytać nie śmie. Nastąpiła wreszcie chwila, gdy po krwawej walce ledwie garstka rycerzy została z wojska litewskiego. Walter długo naradzał się z Kiejstutem i Wajdelotą, a skończywszy rozmowę, wrócił do żony i w te odezwał się słowa:

Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.

Upadł do nóg Aldonie, ręce przeciskał do serca, przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego. Ale gdy pozostał sam ze starym Wajdelotą, sposępniał i, milcząc, wychylał liczne puhary. Potem, gdy na niebie błysnęła zorza poranna, zmyliwszy czujne straże, opuścił zamek. Wszystkich zmylił, lecz serce żony go odgadło. Zabiegła mu drogę. Widzi, że niepodobna go z drogi zawrócić, że dla niej już wszystko skończone. Zrozumiał Walter to nieme wyznanie, opowiedział swój

zamiar, nakazał chować milczenie i u wrót klasztornych po drugiej stronie Niemna pożegnał Aldonę. — Tu kończy się pieśń Litwina.

Słuchał Konrad ponury swych dziejów w milczeniu, lecz gdy Litwin skończył, zrywa się. Nie! Walter nie zapomniał, czemu szczęście swoje i żony poświęcił. On spełni to, co ślubował. Jak się mścić będzie, Konrad im zaśpiewa i powieści Litwina dokończy...

Przyszedł czas, że nic od wojny uchronić nie mogło. Cały Zakon jak jeden mąż prze do walki, aby ukarać Litwę za napaść, za zdradę Witolda... Mistrz oprzeć się nie może. Idą więc ku Litwie zastępy krzyżackie, wróżąc sobie zwycięstwo pewne i obfitą zdobycz. Poszli. Długo ich nie widać z powrotem. Słychać, że Wilno, że Kowno oblegli, ale rychło ustały i wieści i posły. Minęła jesień, nadeszła zima. Teraz dopiero lud się dowiedział, co się stało z temi zastępami, które tak dumnie szły na podbój Litwy:

Już widać zdala: kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych, — Konrad! Nasi wodze!
Jakże ich witać? zwycięzce czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? — Konrad wzniósł prawicę,
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną;
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę!...
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą, jak podłe owady,
W ciasnem naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wloką odrętwiałe nogi;
Ci w biegu nagle przystygli do drogi,
Lecz ręce wznoszą i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy. —

Kto sprawcą tej klęski niebywałej? Konrad wszystkich zgubił. On taki mężny, ostrożny i przebiegły, w tej wojnie poczynał sobie gnuśnie, był ślepy i obojętny na wszystko. Gdy lud marł z głodu,

Wtenczas Wallenrod ufny i spokojny
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty, knował tajemne układy
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego nie wzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął;
Z założonemi na piersiach rękami
Cały dzień dumał lub z Halbanem gadał.

Dla wszystkich jawna jest wina mistrza, lecz dość, by przemówił do zebranej braci, wnet wszyscy mu wierzą. Bo kogóż z ludzi nie przekona trwoga? Ale chociaż ogół rycerzy trwa w posłuszeństwie dla mistrza, starsi Zakonu, wszystko rozważywszy pilnie, zbadawszy przeszłość tajemniczą Konrada, składają tajemny sąd o fałsz, zabójstwo, herezję i zdradę. Wykryli, że Wallenrod nie jest prawdziwem nazwiskiem mistrza, że rycerz, noszący to miano, zginął w Palestynie, że mistrz Zakonu był jego giermkiem, że, o zgrozo, mistrz Zakonu jest Litwinem i został mistrzem dla zguby Zakonu; wreszcie, że podczas nieszczęsnej wyprawy miewał tajemne narady z Witoldem. Jednomyślnie przysięgają zgładzić Konrada. On, nie przeczuwając, jak straszna nad nim zawisła groźba, zaledwie powrócił, śpieszy za mury do samotnej wieży. Są wolni; on spełnił straszne śluby: Zakon leży w gruzach, przez lat sto ran swoich nie wygoi. Litwa będzie bezpieczna, oni szczęśliwi. Lecz czemu milczy Aldona?

Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie i straż nas zatrzyma,
Aldono! — wołał, drżał z niecierpliwości.
Głosu nie stało, błagał ją oczyma
I załamane ręce wzniósł do góry...
Padł na kolana i żebrząc litości,
Objął, całował zimnej wieży mury.

„Nie! już po czasie!“ — rzekła smutnym głosem. Wszak przysięgła Bogu, że nie opuści tego schronienia, chyba zstępując do mogiły. I któż ma wracać na świat? Po latach tylu, po cierpieniach tylu! On pamięta dawną Aldonę, ale czy pozna w pustelnicy dawniej ukochaną postać? Nie, stokroć lepiej pozostać za murami. Wszak i ona nie chce ujrzeć jego oblicza, przez czas odmienionego. Darmo Konrad prosi, darmo błaga. Nieszczęsna chce oszczędzić jemu, a może i sobie, gorzkiego rozczarowania.

Alf już nie słyszał. On po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci,
W dzikich widokach i w naglonym biegu
Znajdował jakąś ulgę, utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie
I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty.

Smutny wraca rankiem na miejskie okopy, gdy nagle ujrzy cień jakiś i słyszy wołanie: „biada, biada, biada“. Wszystkiego się domyślił. To hasło obwieszcza mu wyrok sądu tajemnego. Raz jeszcze więc wraca pod wieżę, aby pożegnać się tym razem na wieki z ukochaną, by wziąć od niej niewinną pamiątkę, z którą umrzeć lżej będzie. Gdy niema ratunku, niechże przynajmniej wie luba, co się z nim stanie. Zamieszka w strzelnicy, którą

widać z okna wieży, wywiesi czarną chustkę we dnie, w nocy lampa świecić będzie. Gdy chustka spadnie lub lampa zagaśnie, będzie to znak, że go nie szukać między żywymi. Do strzelnicy wraca, przyzywa Halbana, cały dzień czeka katów, a gdy słońce zaszło, chce się udać do narożnej wieży, żeby być bliżej ukochanej. Lecz już zapóźno. Słychać kroki zbrojnych ludzi. Więc utkwił oczy w oknie pustelnicy i wypił przygotowaną truciznę.

Na poręcz okna Alf ze łzami pada
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.

A gdy pękły wrzeciądze i zbrojna zgraja się wdarła,

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz zaraz blednie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie i toczący wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:

„Oto są grzechy mojego żywota!...
Gotówem umrzeć; czegóż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?...
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy!
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów,
Tam marzą waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? Wyją głodnych psów gromady...
Oni się gryzą o szczątki biesiady!"

Rzekłszy to, pada, ale, padając, zrywa lampę, wiszącą u okna. Gaśnie lampa, zataczając ostatni raz krąg światła,

I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielały — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...
Z czyjej to piersi? Wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie.

VIII.

W początku roku 1828 Mickiewicz doprowadził do skutku swój zamiar przeniesienia się z Moskwy do Petersburga. Żadnych określonych planów nie miał, ale w Moskwie nie mógł się spodziewać zmiany na lepsze. W Petersburgu, gdyby okoliczności sprzyjały, łatwiej było wyjednać pozwolenie na wyjazd do Odesy, na Kaukaz lub do Włoch nareszcie. Z początku sprawa szła oporem i drażniła już i tak zdenerwowanego długo niepewnością poetę. Nie brał jednak tych trosk zbytnio do serca, a już nigdy nie pozwalał zapanować im nad swym umysłem. Czas wolny od stosunków towarzyskich i zajęć w biurze, w którem został umieszczony, zajęło mu powtórne wydanie utworów tak rozkupywanych, że trzy wydania ukazały się prawie jednocześnie. To daje miarę, jak ogół temi dziełami się przejął i jak je oceniał. Mickiewicz pozawierał w Petersburgu dużo znajomości nowych, ale najserdeczniej, najbliżej żył z przyjaciółmi wileńskimi, bawiącymi tutaj, oraz z rodziną S z y m a n o w s k i c h, znajomą sobie z Moskwy. W domu

tym, składającym się z Marji Szymanowskiej, znakomitej muzyczki, i jej dwu córek, panien Heleny i Celiny, Mickiewicz czuł się jakby w gronie rodzinnem. Celina, która miała później zostać żoną jego, była wówczas młodziutką panienką. Mickiewicz, przywiązany serdecznie do całej rodziny, dla najmłodszego jej członka miał zawsze na ustach żart życzliwy albo mądrą nauczycielską przestrogę, gdy tego zaszła potrzeba. Jedno i drugie nietylko nie psuło przyjaźni, ale ją wzmacniało. Dla Celiny napisał ten wierszyk do pamiętnika:

Zaczyna się werbunek. Widzę zdala: goni
Ogromna ciżba pieszych, hułanów, huzarów,
Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów;
Chcą w albumie założyć obóz różnej broni.
Stanie się! Będę wtenczas siwym bohaterem
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku
Jam w tej armji pierwszym był grenadjerem

Podczas pobytu w Petersburgu Mickiewicz pisał mało. Oprócz drobnych wierszy i tłumaczeń stworzył jedno tylko większe dzieło, ogłoszone drukiem, p. t. *Farys.*

Farys znaczy jeździec, objaśnia poeta w dopisku. Jest to zaszczytna nazwa u Arabów-Beduinów, znaczy to samo, co rycerz w wiekach średnich. Farys w przedstawieniu Mickiewicza to wcielenie siły, dla której za nic wszelkie przeszkody, która nie wie, co to strach lub upadek ducha; wreszcie — to dążenie dusz mężnych do swobody, do rozpostarcia się w wolnej przestrzeni.

„O szalony! gdzie on goni?
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni

Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów;
Tam jeden namiot... niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują".

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem, aż dumne głazy
Zostały zdala odemnie:
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

Gdy czytamy *Farysa*, ogarnia nas bezmiar pustyni, oko w oko stajemy z potężnemi zjawiskami, spotykanemi po drodze w szalonym pędzie jeźdźca. Porywa on nas swem pragnieniem, żeby stanąć tam, gdzie powietrza w całą pierś zaciągnąć można, gdzie oko przeszkód nie spotyka: czujemy się rześwi, wolni, szczęśliwi, czujemy się bliżej nieba.

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie,
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie,
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi!...
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno, szeroko;
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko,
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu.
Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce z nim grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!...

Na początku roku 1829 dzięki staraniom przyjaciół poeta otrzymał pozwolenie na wyjazd za granicę dla poratowania zdrowia. Z pozwolenia tego postanowił Mickiewicz jak najskwapliwiej skorzystać. Gdyby w tej chwili, opuszczając stolicę Rosji, rzucił okiem poza siebie, mógłby powiedzieć, że ziścił najśmielsze nadzieje. Burza, która go oderwała od skromnych obowiązków nauczyciela w Kownie, rzucała nim jak łodzią bez żagli po falach wypadków. Najgorętsze uczucia jego, związane z pragnieniem szczęścia osobistego, bieg losu okrutnie potargał. Oddalony od kraju w chwili, gdy zaledwie z młodzieńca wyrastał na męża, miał styczność bezpośrednią tylko z niewielką garstką przyjaciół i znajomych—jednak te wszystkie przeciwności odbijały się bez szkody od stalowego pancerza jego ducha. Z piersi jego płynął głos namiętny, głęboki, zawsze silny, zdolny budzić z uśpienia odrętwiałych, podnosić słabych, zapalać ogniska wiary w siebie, pędu, zapału. Powołał on w nas do życia nowe potęgi ducha i dał na wiek cały nowy kierunek naszemu istnieniu.

IX.

Kiedy Mickiewicz stanął na gruncie Europy Zachodniej i znalazł się pośród ludów więcej oświeconych, dalej posuniętych pod względem cywilizacji, był to już mężczyzna, mający sąd własny o rzeczach i zdolny poddawać się tylko takim wpływom, które odpowiadały jego poglądowi na świat. Silne i zawsze żywe przywiązanie do kraju rodzinnego, spotęgowane oddaleniem i tęsknotą,

wykształcenie wreszcie gruntowne i wszechstronne składały się na to, że nawet widokom natury i dzieł sztuki, spotykanym w krajach obcych, poddawał się w miarę, nie tracąc chłodnego sądu. Przecież jako człowiek, oddany nauce i sztuce, nie pominął w swej podróży do Włoch ani miejscowości więcej pociągających, ani okazji poznania osób wybitnych na jakiemkolwiek bądź polu działalności.

W Berlinie, gorąco przyjmowany przez bawiących tam studentów Polaków, zawiązał bliższą znajomość z młodym poetą, Stefanem Garczyńskim, która później w serdeczną zamieniła się przyjaźń. Z Drezna, dokąd skierował się z Berlina, zrobił wycieczkę do Pragi Czeskiej i zawiązał znajomość z najpopularniejszym wtedy pisarzem czeskim, Hanką. Zabawiwszy przez jakiś czas w Karlsbadzie, dokąd przybył Odyniec, żeby odtąd wspólnie odbywać podróż, udał się do Wejmaru.

W Wejmarze mieszkał wówczas największy poeta niemiecki, Goethe. Zbliżała się właśnie 80 rocznica jego urodzin, uroczystość droga dla Niemców, a nieobojętna dla innych ludów. Mickiewicz chciał także znajdować się na tej uroczystości, poświęconej wielkiemu poecie, którego genjusz jeszcze, jako młodzieniec, głęboko uwielbiał.

Z Niemiec przez Alpy udali się podróżnicy do Włoch. Tu podczas przebywania łańcucha gór powstał wiersz, zatytułowany *Do...* Z tego wiersza aż nadto widać, jak poeta został wierny swemu pierwszemu uczuciu i nie mógł pogodzić się ze swem położeniem.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody

I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie...

Gdziekolwiek obrócił swe kroki, wszędzie niósł w sobie obraz kraju rodzinnego, pamiątki sercu drogie, ale dawał wyraz swej tęsknocie tylko wtedy, gdy serce wezbrane potrzebowało ulgi. Mickiewicz w towarzystwie Odyńca dążył do Rzymu, gdzie zamierzał zabawić dłużej. Wyszukali więc sobie nasi podróżni mieszkanie na dłuższy pobyt i poczęli się rozglądać w stosunkach. Dzięki znajomości z księżną Wołkońską, która podówczas mieszkała w Rzymie, a stale darzyła Mickiewicza przyjaźnią, prędko poznał on wiele osób wybitnych, a między innemi sławnych artystów. Polacy, bawiący w Rzymie, byli to ludzie przeważnie bogaci, przybywający do Włoch głównie dla rozrywki. Mickiewicz nie lubił się wyróżniać od innych, nie stronił więc ani od zebrań liczniejszych, ani od wycieczek artystycznych. „Położenie moje z wielu względów zdaje się być godne zazdrości"—pisze do przyjaciela. „Kiedy lulki paląc radzimy, czy karnawał w Neapolu, czy w Rzymie przepędzić, czy na zimę do Paryża lub Londynu jechać; możnaby nas kłaść na równi z udzielnymi książętami, których się tylu tu włóczy". W tym samym jednak liście nie każe się dziwić przyjacielowi, że tak czule Litwę wspomina, a tęsknota przebija i ze słów zresztą spokojnych.

Wkrótce Mickiewicz zaznajomił się tutaj z rodziną państwa Ankwiczów z Galicji. Jako rodak opromieniony sławą, był uprzejmie zaproszony do domu, a po bliższem poznaniu zyskał szczerą przyjaźń pani i dwóch panienek: córki Ankwiczów, Henryki, dla której zdrowia przebywali

właśnie we Włoszech, i jej towarzyszki, Marceliny Łempickiej. Henryka Ankwiczówna, jak ją opisuje Odyniec, była pod względem ukształcenia umysłu i serca niepospolitą kobietą. W każdym razie zdaje się rzeczą pewną, że o tyle miała serce i umysł rozwinięte, iż była zdolna wznieść się do zrozumienia chociaż niektórych stron ducha poety. Słabowita, cicha i łagodna, ujmowała wdziękiem sobie właściwym tak, że współczucie i sympatja, które powziął dla niej Mickiewicz, mogły głębsze puścić korzenie. Uczucie to było bez porównania spokojniejsze od tego, które poeta żywił dla Wereszczakówny, było jednak głębokie, skoro, jak się zdaje, miał je uwiecznić związek małżeński.

Na przeszkodzie stanęły rozmaite okoliczności, których natura pozostanie zapewne na zawsze dla nas ciemna. W sprawach serca osobistych był Mickiewicz zamknięty, a dla najbliższych były one zbyt święte, aby domysły swoje choćby najpoufniej mieli opowiadać. Najprawdopodobniej ojciec panny okazał niechęć przeciwko temu związkowi swego dziecka z człowiekiem wielkim, ale dlatego właśnie może nie dającym rękojmi, że życie będzie spokojne i szczęśliwe w tem znaczeniu, jak on je pojmował. Może pamiętał z *Konrada Wallenroda* i kierował się zdaniem: „Biada niewiastom, jeśli kochają szaleńców, których oko wybiegać lubi za wioski granice, których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują, których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć". W istocie dla takich mężów trzeba niewiast hartownych, odważnych na wszystko, o wielkiem sercu. Czy poeta przejrzał, że wybrana zbyt cieplarnianym jest kwiatem, którego nie można wystawiać na burze życia? Jedno i drugie zapewne, więc ze

szczerą prostotą, zdecydowawszy się na zerwanie, przeprowadził je choć łagodnie, ale stanowczo.

Latem roku 1830 odbył wycieczkę do Neapolu, stamtąd do Sycylji i z powrotem przez Włochy do Szwajcarji. Tutaj pożegnał się z Odyńcem: „ja znowu samotny jak kij na świecie, wracam do Rzymu, skąd Bóg wie, gdzie się obrócę“.

Po powrocie na jesieni 1830 roku, tak opisuje swój sposób życia w liście do Malewskiego: „Życie moje w Rzymie zaczyna się po przeszłorocznemu, ale teraz więcej domowe i ciche, rzadko gdzie bywam i mam zamiar najpotrzebniejsze wizyty zredukować. Wielką dla mnie pociechą przyjazd Henryka Rzewuskiego [1]). On tradycjami, anegdotami, szlacheckim stylem, świeżo ze wsi wziętym, ożywił mię. Czuję, niestety, słuchając jego polszczyzny, jak wiele tracę przez niedostatek książek, a co gorsza, rozmowy polskiej od lat tylu. Jakbym chciał wszystkich języków zapomnieć i zamknąć się na rekolekcje w jakiej bibljotece naszej!“ Oskarża się, że sam pragnął wyjazdu na południe, a teraz tęskni do przyrody północnej, która mu przypomina kraj rodzinny: „Nie uwierzysz z jaką rozkoszą, ledwie nie ze łzami powitałem na stepach wegetację północną, zieloną trawę i jodły!“

W takiem usposobieniu otrzymał Mickiewicz wiadomość z kraju o wypadkach roku 1830. Odrazu otrząsnął się ze zniechęcenia i tęsknicy. Oddalony niezmierną przestrzenią, przy zupełnie prawie przerwanych stosunkach, oddany był na pastwę najsmutniejszych przypuszczeń i przewidy-

[1]) Henryk Rzewuski, jeden ze znakomitszych naszych powieściopisarzy historycznych, autor *Pamiętników starego szlachcica litewskiego*, *Listopada* i wielu innych.

wań. „Od niejakiego czasu nie jestem w stanie powiązać dwu myśli. Mokry arkusz niemieckiej brudnej gazety więcej mnie teraz zachwyca, niż wszystkie Vinci i Rafaele. Moje muzeum jest teraz na placu Colonna Sciarra w brudnej jamce, która się nazywa kabinetem lektury".

Dodajmy, że pierwszym porywem Mickiewicza było wracać do kraju, że brak pieniędzy powstrzymał go na czas dłuższy; że wreszcie, zupełnie prawie pozbawiony dokładnych wiadomości, nie wiedział, dokąd się zwrócić. Kiedy wszystkie przeszkody zostały usunięte, natychmiast udał się w drogę, kierując się ku granicom kraju. Po drodze starał się zasięgnąć potrzebnych wiadomości od Polaków, mających stosunki z krajem, co przy ówczesnych sposobach komunikacji zabrało tak wiele czasu, że dopiero w początkach sierpnia roku 1831 przybył do W. Ks. Poznańskiego. Chociaż już nie było najmniejszej wątpliwości, jaki będzie koniec powstania, Mickiewicz, pomimo czujnej straży pruskiej, strzegącej granicy, pragnął natychmiast jechać do Królestwa. Lepiej obznajmieni z warunkami, odwiedli go od tego zamiaru, radząc czekać sposobniejszej pory. Zanim ta nadeszła, powstanie zostało stłumione i nieliczne oddziały wojsk polskich zaczęły przechodzić między innemi granicę pruską. W jednym z takich oddziałów znajdował się brat poety, Franciszek. Mickiewicz najserdeczniej i najgorliwiej zajął się jego losem. Nie mógł się uspokoić, dopóki go nie odnalazł między emigrantami i nie zaopatrzył we wszystko, coby mu mogło uczynić los lżejszy. Pomimo tak niepomyślnych okoliczności ogólnych, poeta czuł się potrzebnym między swoimi i jak mógł przedłużał swój pobyt

w Wielkopolsce. Nie chciał stracić miłego towarzystwa, wśród którego zwyczaje domowe polskie, mowa polska, twarze i warunki karmiły jego ducha, stęsknionego na długiej wędrówce między obcymi. Ale i tutaj był tylko gościem. O spokojnem pozostaniu w Poznańskiem myśleć nie mógł, ani też nie chciał. Skoro więc o brata się uspokoił i skoro przyjaciele i znajomi z Litwy o losie swym postanowili, w początkach roku 1832 pociągnął za nimi do Drezna.

W Dreźnie znalazł już przyjaciół i wielu znajomych: Odyńca, Domejkę, Garczyńskiego, do którego coraz bardziej się przywiązywał, i innych. Stąd też Mickiewicz zgłosił się listownie do swego dawnego profesora, który obecnie bawił w Paryżu, mianowicie do Joachima Lelewela. Pragnął nawet jechać do Paryża w tym celu, żeby się objaśnić o wielu wypadkach dla siebie niezrozumiałych. Ale wyjazd nie zaraz nastąpił. Poeta zajął się gorliwie pisaniem, chcąc zapewne ulżyć duszy, wstrząśniętej tylu wypadkami i wyrazić swoje poglądy, które nie uległy zasadniczej zmianie, lecz spotężniały pod wpływem rozmyślań.

X.

Kiedy pewnego razu po przyjeździe do Drezna Mickiewicz modlił się w kościele, poczuł, „jakby się nad nim bania z poezją rozbiła“. Rzucił więc rozpoczęte inne prace, żeby po długiem milczeniu wypowiedzieć to, co w duszy się nagromadziło. Zasłuchany w silnie przemawiający

głos wewnętrzny, zapomniał o bożym świecie a odrywał się od pracy tylko tyle, żeby wytchnąć w gronie najbliższych przyjaciół, lub listownie dowiedzieć się, co słychać u brata i jego opiekunów w Poznańskiem.

Postanowił, że nie ruszy się z Drezna, dopóki zaczętych prac nie pokończy, widział bowiem w tych nowych swych dziełach dług, do którego spłacenia się poczuwał. Skromny w słowach, gdy mówił o sobie, w tym wypadku przyznaje, że pracy swojej przypisuje wielkie znaczenie. Zrozumieć to łatwo, gdy się zważy, iż duch jego w owych chwilach wznosił się na niedoścignione wyżyny, z których człowiek próżny spada zmiażdżony na proch, a człowiek wielki schodzi jak prorok ze spokoiem, promieniejąc w sercu własnem tem głębszą mądrością. Z tego, co Mickiewicz w owe czasy napisał, nie wszystko zostało ogłoszone drukiem. Niektórych utworów nawet najbliższym przyjaciołom nie odczytał i zniszczył je. To, co ogłosił, nazwał III częścią *Dziadów*. Utwór ten został po raz pierwszy wydrukowany w Paryżu w roku 1832.

Pod świeżem wrażeniem powstania 30 roku, wybiera Mickiewicz za temat jeden z epizodów długiej walki z niewolą rosyjską, proces Filaretów, którego sam był uczestnikiem.

W gruncie rzeczy w walce duchowej, którą prowadziły liczne pokolenia, proces ten jest nie pierwszym, lecz typowym dla martyrologji polskiej.

Odbija się w nim jak w widzeniu ks. Piotra los tych wszystkich Polaków, którzy na śmierć polityczną swej Ojczyzny dać zgody nie mogli:

... Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda.
Co widzę? — długie, białe, dróg krzyżowych biegi.
Drogi długie—nie dojrzeć—przez puszcze, przez śniegi
Wszystkie na północ — tam, tam w kraj daleki
Płyną jak rzeki.

. . . .

Tłum wozów — jako chmury wiatrami pędzone,
Wszystkie tam w jedną stronę.
Ach Panie! to nasze dzieci,
Tam na północ — Panie, Panie!

Poświęcił autor ten utwór: Janowi Sobolewskiemu, Cyprjanowi Daszkiewiczowi, Feliksowi Kółakowskiemu „spółuczniom, spółwięźniom, spółwygnańcom, za miłość ku ojczyźnie prześladowanym, z tęsknoty ku ojczyźnie zmarłym w Archangielsku, na Moskwie, w Petersburgu narodowej sprawy męczennikom".

Jak dwie pierwsze części *Dziadów* były wyłącznie poświęcone dziejom młodego serca, w którem nieodpłacona wzajemnością miłość wzbudza burzę namiętności, tak w tej części pierwiastek erotyczny nie odgrywa żadnej roli, natomiast całą ją wypełnia miłość Ojczyzny.

Uczucie to, najściślej związane z uczuciem religijnem, znajduje wyraz kulminacyjny w *Improwizacji*, która też dotychczas zostaje kulminacyjnym punktem polskiej poezji wogóle.

Jakaż jest treść tego ustępu, którego sława jest tak powszechnie uznana?

Gustaw z pierwszej i drugiej części *Dziadów* przybiera tutaj imię *Konrada*, imię tego bohatera

poematu, który pisany pod cenzurą tylko w sposób symboliczny mógł przedstawić stosunek Polaków do Rosji, do zaborców wogóle.

I Gustaw i Konrad są młodzieńcami, obaj poeci, obaj wydają się rówieśni, lecz jakaż między nimi różnica!

Albo raczej, jakie dwie odmienne strony duszy ukazał nam poeta.

Gustaw, z pewnością, jest wielkim poetą, lecz cały swój genjusz składa u stóp kochanki. Z jej oczu chce wyczytać wyrok życia dla siebie. Jeżeli wybucha, wybucha rozpaczą.

Co innego Konrad. Ten nietylko jest świadom wielkości swego genjuszu:

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklanne weźmie skrzydła ciebie nie dolata,
Tylko o twoję mleczną drogę się uderzy;
Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy;

lecz w ekstazie gotów mierzyć się ze wszystkimi poetami świata:

Depcę was, wszyscy poeci,
Wszyscy mędrce i proroki,
Których wielbił świat szeroki.
Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
Słyszeli, czuli i za słuszne znali,
I wszystkie sławy każdodziennej blaski
Promieniami na wieńcach swoich zapalali;
Z całą pochwał muzyką i wieńców ozdobą,
Zebraną z wieków tylu i z pokoleń tylu,
Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,
Jak ja dziś czuję w tej samotnej nocy:
Kiedy sam śpiewam w sobie,
Śpiewam samemu sobie.

Tak dufny w swoją potęgę, czuje w sobie jedną tylko słabą stronę: jest człowiekiem i jako taki nie jest uzbrojony przeciw uczuciu:

Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało...

Lecz żeby nikt nie pomylił się co do charakteru tego uczucia; żeby nikt nie sądził o Konradzie podług Gustawa:

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie:
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród! — objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec:
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...

Niestety, żeby ten cel osiągnąć—trzeba ludźmi móc rządzić. Natura jest posłuszna poecie:

Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu,
Mnie i Ciebie...

Konrad pragnie innego rządu nad duszami niż zwykle bywa. Pragnie tak rządzić ludźmi, jak nimi rządzi Stwórca:

Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie.

Skoncentrowane uczucie zaślepia wieszcza, poczucie bezsilności, a zarazem wiara w wielkość swej sprawy, czynią go zuchwałym wobec samego Boga.

Bowiem nie działa w swojem imieniu, w swojej sprawie!:

> Teraz duszą jam w moję ojczyznę wcielony;
> Ciałem połknąłem jej duszę,
> Ja i ojczyzna, to jedno.
> Nazywam się Miljon — bo za miljony
> Kocham i cierpię katusze...

Ratuje go z nad krawędzi przepaści ks. Piotr. Przeczuwając przeznaczenie Konrada, ofiarowuje się za niego, aby przebłagać Boga za bluźnierstwo:

> Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
> Sługa już spracowany i niegodny na nic,
> Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
> A ja, za jego winy, przyjmę wszystkie kary.
> On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe Imię.
> Módlmy się, Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie...

Ks. Piotr przypomina *Myśliwego* z I części *Dziadów*. Jak tamten, czyni niejasne przepowiednie, tyczące się przyszłości poety:

> Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę.
> Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
> Szukaj męża, co więcej niźli oni umie;
> Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże
> Słuchaj, co powie...

Z tą różnicą, że podczas gdy Myśliwy jest duchem czarnym, podejrzanym, ks. Piotr jest postacią niebiańską, błogosławioną.

Ks. Piotr, obdarzony wzrokiem wieszczym, przepowiada także przyjście zbawiciela dla Polski. Ten ustęp i tajemniczością swoją i formą przypomina objawienia św. Jana:

Jako trzy słońca błyszczą jego trzy źrenice,
I ludom pokazuje przebitą prawicę.
Któż ten mąż? — To namiestnik na ziemskim padole.
Znałem go, — był dzieckiem — znałem,
Jak urosł duszą i ciałem!
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.
Mąż straszny — ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Jak baldakim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice
Podnóżem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą, gdy on woła,
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
To namiestnik wolności na ziemi widomy!
On to na sławie zbuduje ogromy Swego kościoła!
Nad ludy i nad króle podniesiony;
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej, krew jego dawne bohatery,
A imię jego czterdzieści i cztery...

Jak bywa ze wszystkiemi przepowiedniami tak i tej poeta nie odnosi do jakiejś osoby określonej—(choć niektóre szczegóły pozwalałyby przypuszczać, że ma na myśli samego siebie), poezja bowiem nie znosi tego rodzaju interpretacji realistycznej — raczej, przepowiadając zjawienie się wskrzesiciela narodu, w formie poetyckiej i konwencjonalnej, stwierdza tylko istnienie niezłomnej woli powstania z martwych narodu, który za zabity nigdy się nie uznawał i nie uznał.

Do przyjęcia III części *Dziadów* czytająca publiczność była już przygotowana poprzedniemi pismami poety. Rodzaj poezji nie był już dla niej tak nowy i nieznany, jak w chwili, gdy Mickiewicz wystąpił po raz pierwszy. Lecz treść, po raz pierwszy, w sposób wstrząsający opisująca cierpienia narodu z epoki niemal współczesnej, podziałała na czytelników w sposób niezwykły. Dowodem licznie pojawiające się wydania, jak na owe czasy, i to, że od pierwszej chwili rządy zaborcze widzą w tem dziele książkę buntowniczą, jaką była, a Polacy swoją księgę czczoną, dla której czytania narażają spokój, a nawet wolność.

XI.

Podczas tworzenia III części *Dziadów* nastąpił w poglądach Mickiewicza przewrót, który się odbił nawet w jego sposobie życia. Przewrót ten ani był nagły, ani dla niego samego niespodziewany, wypływał raczej z dotychczasowych zapatrywań poety. Kierując się poczuciem obowiązku, zdecydował się wbrew własnym upodobaniom udać się za głównym prądem emigracyjnym do Francji. Ani w podróży, ani na miejscu, na znajomych i towarzyszach, nawet na kolegach z ławy uniwersyteckiej, mu nie zbywało. W Paryżu lub w innych miastach francuskich między licznymi emigrantami znajdowali się: dawny kurator wileńskiego okręgu naukowego, dawny profesor Mickiewicza, sławny historyk, Lelewel, znakomity poeta, Bohdan Zaleski, Witwicki, przyjaciel

z lat młodości Domejko, i wielu, wielu innych, którzy otoczyli Adama życzliwością i ciepłem przyjaźni.

Trzeba wziąć pod uwagę, że byli to ludzie najrozmaitszych przekonań, wieku i usposobień; że wskutek tego, iż tylko radą mogli służyć współziomkom, różnica zapatrywań odgrywała między nimi największą rolę, z czego wynikały niekończące się nigdy spory, intrygi, kłótnie, zjadające dzielność i siłę duchową.

Mickiewicz nie mógł nie boleć nad tem, a uważając za swoje powołanie przykładać się do sprawy polskiej przynajmniej piórem, postanowił napisać i ogłosić dzieło, któreby wskazywało Emigracji cel i najskuteczniejsze sposoby działania:

„Bóg nie pozwolił mi być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkiem i płodnem na przyszłość dziele (w powstaniu roku 30). Żyję tylko nadzieją, że bezczynnie ręki na piersiach w trumnie nie złożę“.

W ten sposób powstały:

Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego, które poeta ogłosił w Paryżu w roku 1832, tym samym, w którym wydrukował III część *Dziadów*, której jednak pomysł, czy szkic narzucił już w Dreźnie, kiedy charakter i znaczenie Emigracji („pielgrzymstwa“) jasno mu stanęły przed oczami.

Rozumiejąc, że po klęsce powstania roku 30 wszystko, co najlepszego miał naród, ratowało ucieczką zagranicę nietylko życie, lecz samą ideę niepodległości, w Emigracji widział najwyższy wyraz narodu, lub przynajmniej pragnął w niej widzieć rękojmię tej Polski, która powstać miała:

„Duszą Narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie

. . . .

A tymczasem Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrówki do ziemi świętej, Ojczyzny wolnej, ślubował wędrować póty, aż ją znajdzie".

Na czem budował swoją wiarę w nieomylne zmartwychwstanie narodu, wypowiada jasno:

„Nie dlatego, że naród wasz był potężny, bo Rzymianie potężniejsi byli i umarli, a nie zmartwychwstają.

Nie dlatego, że wasza rzeczpospolita była starożytna i sławna, bo Wenecja i Genua były starożytniejsze i sławniejsze, i umarły, a nie zmartwychwstają.

. . . .

A wy będziecie wzbudzeni z grobu, boście wierzący, kochający i nadzieję mający".

Wiarę w konieczność zmartwychstania Ojczyzny uważa poeta za warunek kardynalny, a nieufność za największy grzech w Polaku:

„Na jakich ludziach Ojczyzna Wasza największe pokłada nadzieje i dotąd pokładała?

. . . .

Ani na ludziach, którzy dawniej wojny robili, i wyuczyli się najlepiej maszerować i szykować i rozprawiać o wojnie i książki wojenne pisać; bo większa część tych ludzi nie miała Wiary w sprawę ojczystą.

Ale na ludziach, których nazywaliście dobrymi Polakami, pełnych uczucia, tudzież na poczciwych żołnierzach, tudzież na młodzieży..."

Albo jeszcze silniej w innem miejscu:

„A jako w obozie ludu wybranego byli ludzie zaraźliwi, chorujący na leprę czyli trąd, tak i między Wami trafiają się ludzie zaraźliwi, to jest źli Polacy; od tych uciekajcie, bo nad trąd zaraźliwsza choroba ich. Po tych znakach zaś poznacie chorobę ich:

Człowiek zaraźliwy nie wierzy w zmartwychstanie Polski, chociaż bił się o nie i pielgrzymuje o nie. A choroba jego pokazuje się w słowach takich: wiedziałem, że powstanie było głupstwem, ale biłem się walecznie

za sprawę powstania, jako dobry żołnierz; wiem, iż niepodobieństwem jest odzyskać Polskę, ale pielgrzymuję jako człowiek honorowy....

. . . .

Zaprawdę, mówię Wam, iż żołnierz, który walczy bez Wiary w dobroć sprawy swojej, zwierzem jest; a dowódca, który prowadzi na bój bez Wiary w sprawę swoją, rozbójnikiem jest.

Człowiek zaraźliwy bije się w polu i zabija dwóch nieprzyjaciół, a wróciwszy do namiotu, psuje serca żołnierzy i zabija dziesięciu swoich na duszy.

. . . .

A niech się nie tłumaczy, mówiąc, iż co innego jest postępowanie i czyn, a co innego myśl i mowa; bo przeciwko Ojczyźnie można ciężko grzeszyć mową i myślą, a każdy z tych grzechów nie ujdzie kary swej...."

Ten utwór wielkiej wysokości i prawdy moralnej kończy poeta *Modlitwą pielgrzyma*, w której czyn wojenny w walce o Ojczyznę jest przedstawiony jako najwyższe dobro, do którego ma dążyć Emigracja i do którego dążył sam Mickiewicz:

„... Dzieci Narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni sybiryjskich i ze śniegów kamczackich i ze stepów Algeru i z Francji, ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej, w Polsce, wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie; i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych"...

A ideę tę, którą potem będzie się starał urzeczywistnić w Legionie, Mickiewicz wieńczy w *Litanji pielgrzyma*, godnej stanąć obok najwznioślejszych ustępów jego poezji.

Między Polską a Litwą a Rusią dla Mickiewicza niema różnicy:

„Litwin i Mazur bracia są; czyż kłócą się bracia o to, iż jednemu na imię Władysław, drugiemu Witowt? nazwisko ich jedne jest, nazwisko Polaków“.

To też w modlitwie swojej obejmuje wszystkie trzy części:

„Matko Boska, którą Ojcowie nasi nazwali Królową Polski i Litwy
Zbaw Polskę i Litwę“.

I równie jak obejmuje jednem uczuciem trzy narody, wchodzące w skład Rzeczypospolitej, tak też odczuwa trzy niewole:

„Od niewoli Moskiewskiej, Austryjackiej i Pruskiej,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo trzydziestu tysięcy rycerzy barskich, poległych za Wiarę i Wolność,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo młodzieńców Litwy, zabitych kijami, zmarłych w kopalniach i na wygnaniu,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo obywateli Oszmiany, wyrzniętych w kościołach Pańskich i w domach,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy, zamordowanych w Fischau przez Prusaków,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy, zaknutowanych w Kronsztadzie przez Moskali,
Wybaw nas, Panie.

Przez krew wszystkich żołnierzy poległych w wojnie za Wiarę i Wolność,
Wybaw nas, Panie.

Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników wygnańców i pielgrzymów Polskich,
Wybaw nas, Panie.“

Rozum a więcej jeszcze wieszcza intuicja pozwoliła mu przewidzieć na kilkadziesiąt lat, że wybawienie Polski może tylko nastąpić jako rezultat wojny europejskiej, w której ulegną trzej zaborcy, więc modlił się żarliwie poeta:

„O wojnę powszechną za Wolność ludów...
O broń i orły narodowe...
O śmierć szczęśliwą na polu bitwy...
. . . .
O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny..."

Wpływ *Ksiąg* był na współczesnych wielki Modlono się słowami *Ksiąg* w chwili religijno-patrjotycznej ekstazy.

Naturalnie, wysoką moralność, którą głosiły, nie każdemu się udało osiągnąć, lecz Emigracja otrzymała ideę, którą przekazała i drugiemu pokoleniu swemu nawet na obczyźnie i zachowała do chwili ostatniej w osobach starców, pamiętających z ustnej tradycji owego czasu: wysokie poczucie godności Emigranta i odpowiedzialność za służbę narodową.

Jako utwór artystyczny i natchnieniem swojem i treścią szczególniej oddziaływały te *Księgi* koło roku 1848, w chwilach ogólnego przebudzenia się narodów ujarzmionych. Wówczas przełożono je na wszystkie niemal języki europejskie.

Pierwsze chwile pobytu w Paryżu dla poety były pełne przykrości, mimo to znajduje dość siły wewnętrznej do rozpoczęcia pracy, która stała się największem arcydziełem literatury naszej. To zajęcie wymagało większego spokoju, niż mogło dać otoczenie paryskie. Poeta chciał odpocząć, odetchnąć powietrzem wiejskiem, żeby tem goręcej

oddać się pracy. W istocie doprowadził ten zamiar do skutku, ale w warunkach, które odpoczynkowi, ani pracy bynajmniej nie sprzyjały. Dowiedziawszy się, że lekarze wysyłają Garczyńskiego z Drezna na leczenie, pośpieszył na jego spotkanie. „Smutne i rozdzierające duszę było widzenie się nasze“, pisze poeta. „Patrząc na twarz smutną Stefana, taką bladą i smutną, przewracało mi się w sercu“. O odpoczynku nie mogło być mowy. „Stan jego zdrowia jest taki, że nietylko nie będę mógł robić wycieczek w góry, ale nawet trudno mi wychylić się za próg“. Z Bex w Szwajcarji ruszył Mickiewicz z chorym na południe. „Roboty moje“, pisze w miesiąc potem, „całkiem przerwane. Łatwo zgadniesz, że przy odgłosie kaszlu i patrząc na ciągłe cierpienie Stefana, nie podobna myśleć o pisaniu, a nawet czytaniu. Gdybym przynajmniej mógł przepisać pieśń czwartą; sprobuję, może potrafię“.

We wrześniu roku 1833 Garczyński życie zakończył. Mickiewicz, nie odstępujący chorego do ostatniej chwili, postanowił wracać do Paryża w stanie, o którym tak się wyraża w liście do przyjaciół: „Jestem podobny teraz do Francuza, wracającego z roku 1812, zdemoralizowany, słaby, obdartus zupełny, bez butów prawie. O niczem myśleć dotąd nie mogę, ale z czasem wypocznę i zdrowie, mam nadzieję, wróci“. Domejki prosił, żeby mu wynajął mieszkanie w Paryżu. Śpieszył się do pracy nad rozpoczętym poematem. Tutaj, żyjąc tylko w kółku najbliższych przyjaciół, kończył swe dzieło, rozpoczęte pośród utrapień, cierpień i przeciwności, a przecie pełne pogody i spokoju.

XII.

Po namiętnych *Dziadach* ukazał się *Pan Tadeusz* — spokojny i jasny, jak piękny dzień letni. Gdy w poprzednich utworach burza namiętności wybucha złowrogiemi piorunami, tutaj jeżeli zjawiają się chmury, to dlatego, żeby odświeżyć spragnioną deszczu ziemię; jeżeli się błyska, to na pogodę.

W poprzednich dziełach poeta przemawia od siebie, wydobywając z głowy skarby myśli, z serca — skarby uczuć; w *Panu Tadeuszu* pozwala za siebie mówić przyrodzie i ludziom.

Chcąc stworzyć wierny obraz życia szlachty polskiej, poeta cofnął się pamięcią do wieku dziecińswa swego, a mianowicie do roku 1812. W owym czasie, w cichej wsi litewskiej życie było prostsze, zgodniejsze z naturą i zachowywało cechy narodowe, mające pod wpływem cywilizacji albo rychło zaniknąć, albo przekształcić się, ulegając zmienionym warunkom. Te właśnie zanikające cechy narodowe poeta postanowił oddać, pragnąc życie narodu z niedawno ubiegłej epoki zakląć w wiersz, jak w marmur, i przekazać następnym pokoleniom jego wspomnienie.

Obraz kraju rodzinnego nosił on wyryty w sercu, a przebywając między cudzoziemcami, chował ze czcią w pamięci zwyczaje narodowe. Radośnie więc zabierał się do pracy, która dawała mu złudzenie powrotu w strony ojczyste, radośnie wyrywał się

myślą do szczęśliwszych czasów,
I dumał, marzył o swojej krainie...

. . . .

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie.
Jak bajeczne żórawie, na dzikim ostrowie,
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną
I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną
Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił:
On zrobił skrzydła i do swoich wrócił...

Jak po długiej niebytności wędrowiec stęskniony czule wita okiem ściany domu starodawne, tak poeta, przenosząc się myślą w strony rodzinne, z rozrzewnieniem wspomina wszystko, co go w dzieciństwie otaczało:

Od lipy, która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cienia,
Aż do każdego strumienia, kamienia...

Do tego kraju, gdzie mu młodość upłynęła, gdzie część swej duszy zostawił, poeta przenosi nas myślą, wprowadzając do domu sędziego Soplicy:

Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.

Pan Sędzia jest to domator, jakiego typ przedstawia nam już Rey, tylko bardziej polerowany: choć na urzędzie, choć za młodu niemało objechał świata, nie pnie się ku zaszczytom, siedzi w domu i ziemię orze. Jako obywatel i jako Polak, przestrzega pilnie, by w domu, na wsi i w gospodarstwie nic się nie działo inaczej, niż każe stary zwyczaj. Wszystko też w domu jego oddycha tym ładem, którym, jak mówi Sędzia, „domy i narody słyną, z jego upadkiem domy i narody giną“.

Utraciwszy w młodości narzeczoną, pan Sędzia pozostał samotny, gdyż nawet jedyny brat rodzony, Jacek, przepadł bez wieści po strasznym wypadku, który się wydarzył na wiele lat przed chwilą, kiedy zaczyna się opowiadanie. Ów Jacek Soplica, zwany wojewodą,

Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie,
Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,
I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,

ów Jacek zakochał się w córce stolnika Horeszki, magnata, dygnitarza Rzeczypospolitej. Magnat ugaszczał u siebie Soplicę, dopóki go potrzebował; lecz gdy ten coraz częściej zaczął jeździć do zamku, gdy Stolnik spostrzegł jego zamiary — kazał mu podać czarną polewkę. Jacek odjechał, ale poprzysiągł zemstę, do której rychło nadarzyła się sposobność. Stolnik był oblegany przez wojsko rosyjskie w swym zamku i po silnej utarczce odparł nieprzyjaciela. Właśnie wyjrzał na ganek i raził niedobitków ze strzelby, kiedy nadjechał Soplica. Gdy Jacek ujrzał to wrogie oblicze, triumfujące i uśmiechnięte z odniesionego zwycięstwa, zawrzała w nim nienawiść. Nie wiedząc, co czyni, wyrwał broń żołnierzowi z ręki, nie mierząc wystrzelił i zabił Stolnika. Po tym czynie w tej chwili się opamiętał, ale było za późno. Stolnik zginął. Córka Stolnika, wydana zamąż wbrew woli, umarła, zostawiając córeczkę Zosię. Majątek w części skonfiskował rząd rosyjski, w części oddał wraz z zamkiem Soplicom. Ale Jacek już miejsca znaleźć sobie nie mógł. Ożenił się, chcąc dowieść, że o pierwszej miłości zapomniał, ale tym czynem tylko jeszcze jedną duszę pogrążył w nieszczęściu. Wreszcie, gdy żona

z żalu umarła, zostawił syna na opiece brata i kraj opuścił. Sędzia, odziedziczywszy po bracie majątek, wziął też obowiązki. Synowca, pana Tadeusza, kształcił w Wilnie, a nie mając własnych dzieci, kochał jak rodzonego syna. Zosię, wnuczkę Stolnika, która, zostawszy zupełną sierotą, nie miała żadnej opieki, z rozkazu brata Jacka wziął do siebie, oddając pod kierunek siostrze swej, Telimenie.

Wiele czasu upłynęło od tej chwili, i ludzie i pan Sędzia zapomnieli o krwawej zbrodni, która rozdzieliła niegdyś ród Horeszków i Sopliców, gdy niezgoda na nowo wypłynęła przy zdarzonej okazji. Daleki krewny Horeszków, pan Hrabia, wróciwszy z zagranicy do kraju, upodobał sobie zamek Stolnika i postanowił odebrać go Soplicom. Pan Sędzia, widząc w tem zamach na swoje prawa, nie chciał ustąpić. Zaczął się proces, trwający lat kilka. Gdy jednak sprawa nie posuwała się naprzód, zwrócona została do sądów granicznych, w których miała być ostatecznie rozstrzygnięta. Właśnie gdy pan Tadeusz, ukończywszy nauki w Wilnie, wracał po długiej niebytności do domu, u Sędziego był zjazd wielki sąsiadów, przybyłych na owe sądy graniczne. Sędzia wszystkich rad witał, starał się jak najlepiej ugościć, w czem pomagali mu i pani Telimena i pan Wojski, daleki krewny Sędziego a przyjaciel domu. Z sądami nie śpieszono się. Pan Hrabia jeszcze nie przybył — zresztą do zgody skłonne były obie strony.

Tymczasem sprawa się powikłała. Zanim przyszło do sądów, pan Hrabia nie odmawiał swego udziału w zabawach, które pan Sędzia urządzał dla gości. Uprzejmie widziany przez Telimenę, zapałał do niej niespodziewanym afektem, lecz pani

Telimena, uśmiechając się do Hrabiego, wabiła jednocześnie Tadeusza, którego po raz pierwszy ujrzała w domu Sędziego. To podrażniło miłość własną Hrabiego. A przytem Gerwazy, stary sługa Horeszków, kładł w uszy swemu panu, że „niemasz z Soplicami zgody“ i przypominał krwawą historję Stolnika. Hrabia, zmienny w postanowieniach, wpośród uczty, którą Sędzia urządził dla gości w sieni zamkowej, ostro przymówił gospodarzowi, klucznik Gerwazy znieważył jego gości; wybucha zwada, wywiązuje się bijatyka. Po takim wypadku już niema co myśleć o zgodzie—raczej o zemście.

Tadeusz chce wyzwać Hrabiego na pojedynek, Sędzia pozwać go o gwałt i najście domu. Gerwazy doradza najechać zbrojnie dwór Soplicy i zamek wraz z ziemią odebrać. I stałoby się pewno tak, gdyby nie wdanie się księdza Robaka.

Pod suknią bernardyńską kwestarza w okolicy Soplicowa krył się ów Jacek, główny sprawca całej historji. On, niegdyś bohater sejmików i zajazdów, tułał się długo pod przybranem imieniem, starając się zmyć dobremi uczynkami swój czyn występny. Bił się na obczyźnie za Polskę, wypełniał niebezpieczne polecenia wodzów legionowych; schwytany, ponosił ciężkie kary, aż, wiedziony tęsknotą, wrócił do kraju rodzinnego, żeby tutaj przygotować umysły do przyjęcia Napoleona. Szlachta drobna, zamieszkująca zaścianki w pobliżu Soplicowa, a szczególniej szlachta Dobrzyńska, z niecierpliwością oczekuje chwili, kiedy zostanie powołana do czynu. Na wieść, rozpuszczoną przez księdza Robaka, o zbliżaniu się Francuzów, zjeżdża się, odbywa narady, gotuje się...

Cóż, kiedy wbrew wszelkiemu rozumowi daje się uwieść namową starego Gerwazego. Zdawna

patrząc krzywem okiem na Sopliców, źle zrozumiawszy słowa księdza Robaka, zamiast na Moskali napada na dom Sopliców pod pretekstem, że Soplicowie dawniej „służyli Moskalom“. Dzięki Bogu, wielkiej krzywdy nie wyrządza właścicielom dworu, gdyż Hrabia, który ją wyprzedził, już wziął pod straż Sędziego i domowników; ona więc zabiera tylko gospodarskie zapasy i urządza ucztę:

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką:
Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.

Gdy szlachta Dobrzyńska święci zwycięstwo, zjawiają się całkiem nieoczekiwani na odsiecz jegrzy rosyjscy, napadają na sennych i wiążą ich... Bóg wie, jakieby losy spotkały wojowników i jakąby ponieśli karę za pomordowane kury, gęsi i kaczki, gdyby się zkolei nie zjawił ksiądz Robak.

Bernardyn wstąpił do pokoju.
Zaledwie go poznano, choć nie zmienił stroju,
Tak przybrał inną postać. Zwyczajnie ponury,
Zamyślony, a teraz głowę wzniósł do góry,
I z miną rozjaśnioną, jak kwestarz rubacha,
Nim zaczął gadać, długo śmiał się:
„Cha, cha, cha, cha,
Kłaniam, kłaniam! Cha, cha, cha, wyśmienicie, przednie!
Panowie oficery, kto poluje we dnie,
Wy w nocy! Dobry połów, widziałem zwierzynę;
Oj, skubać, skubać szlachtę, oj, drzeć z nich łupinę!
Oj, weźcież ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!

Wnet się postać rzeczy zmienia. Ksiądz Robak umie rozmawiać z Moskalami, z wesołością idzie pijatyka, a za nią, gdy krew się rozgrzała, zaloty. Lecz pan major Płut zbyt słabą miał głowę i prędko przebrał miarę:

.....chwycił Telimeny rękę
I szerokim całusem w białe ramię klasnął,
Gdy Tadeusz, przypadłszy z boku, w twarz mu trzasnął.

. . . .

Major osłupiał, oczy przetarł, z gniewu blady
Zawołał: „Bunt! buntownik!" i dobywszy szpady,
Biegł przebić. Wtem ksiądz dostał z rękawa krucicę:
„Pal, Tadeuszku!" krzyknął, „pal jak w jasną świecę!"

Na odgłos strzału zbiegają się jegry bronić starszyzny, ale jednocześnie zjawia się na pomoc braciom szlachta okoliczna, sprowadzona cichaczem przez Robaka. Jedni tną żołnierzy, inni pracują nad rozkuciem Dobrzyńskich. Obie strony walczą mężnie, lecz szlachta, do bezładnej walki wprawniejsza, bierze górę. Ci co nie polegli, broń składają, lecz tych było mało.

Teraz przychodzi opamiętanie. Pan Sędzia zamyka się z kapitanem Rykowem i zaczynają układy. Najwinniejsi muszą emigrować, reszta ukryje się po kątach.

Do tych, którzy najwięcej mieli powodów do emigrowania, należeli ksiądz Robak i Tadeusz. Ale ksiądz Robak nie potrzebował już nikogo się obawiać, bowiem rogata dusza jego lada chwila miała opuścić ciało. Postrzał, otrzymany w bitwie, był śmiertelny, przytem inne rany...

„Zły przykład dla Ojczyzny: zachętę do zdrady
Trzeba było okupić dobremi przykłady,
Krwią, poświęceniem się...
„Biłem się za kraj, gdzie? jak? zmilczę. Nie dla chwały
Ziemskiej biegłem tylekroć na miecze, na strzały.
Milej sobie wspominam — nie dzieła waleczne
I głośne, ale czyny ciche, użyteczne,
I cierpienia, których nikt...
„Udało mi się nieraz do kraju przedzierać,
Rozkazy wodzów nosić, wiadomości zbierać,

Układać zmowy: — Znają i Galicyjanie
Ten kaptur mnisi — znają i Wielkopolanie!
Pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy!
Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy,
Raz już wiedli na Sybir; potem Austryjacy,
W Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy,
W carcer durum — a Pan Bóg wybawił mnie cudem,
I pozwolił umierać między swoim ludem,
Z sakramentami.

Przy łożu konającego, który, wezwawszy Gerwazego, daje się poznać i czyni spowiedź swego żywota, mięknie nawet zatwardziałość duszy starego klucznika.

Przerwał Klucznik — jeżeli masz przyjąć wijatyk,
Księże Jacku, toć ja nie luter, nie syzmatyk!
Kto umierającego smuci, wiem, że grzeszy.
Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy:
Kiedy nieboszczyk pan mój upadał zraniony,
A ja klęcząc nad jego piersią pochylony,
I miecz maczając w ranę, zemstę zaprzysięgnął
Pan głową wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął
W stronę, gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył;
Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył.

Tadeusz już zdawna miał chęć wyjechać do Księstwa Warszawskiego, żeby zaciągnąć się do wojska polskiego. Na drogę oprócz błogosławieństwa stryja otrzymuje od ukochanej Zosi czułą pamiątkę.

Inni, jak kto mógł, chronią się przed karą, byle doczekać wiosny, bo oto na łożu śmierci Ksiądz Robak odebrał wiadomość, że wojna postanowiona, że na wiosnę ukaże się na Litwie Napoleon, a z nim wojsko Księstwa Warszawskiego.

I nastąpiła wreszcie ta chwila. Sztab wojska polskiego przechodził przez Soplicowo. Pan Sędzia

miał szczęście gościć u siebie wodzów, Zosia ujrzała Tadeusza. Dla uczczenia tylu tak dostojnych gości pan Sędzia wystąpił z nadzwyczajnym przepychem. Tem więcej, że ta uroczystość połączona była z familijną, gdyż jednocześnie obchodzono zaręczyny Zosi z Tadeuszem, pani Telimeny z Rejentem i córki Wojskiego z Asesorem. A gdy goście zasiedli, Zosia z Tadeuszem służyli na dziedzińcu ludowi, jak każe zwyczaj. Po skończonej uczcie puszczają się w tany.

Poloneza czas zacząć. — Podkomorzy rusza
I zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.
Za podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia,
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.

. . . .

Brzmią zewsząd okrzyki:

„Ach, to może ostatni! patrzcie, patrzcie, młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!"

I suną pary za parami hucznie, wesoło. Już i słońce zaszło, a szlachta wciąż ucztuje, spełnia puhary, wznosi nieskończone toasty:

Napoleona, wodzów, Tadeusza, Zosi,
Wreszcie zkolei wszystkich trzech par zaręczonych,
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,
Wszystkich przyjaciół, których kto żywych spamięta
I których zmarłych pamięć pozostała święta!...

Ta treść poematu, tutaj z pominięciem wielu bardzo szczegółów opowiedziana, nie daje pojęcia o tem, co czyni z „Pana Tadeusza“ arcydzieło naszej literatury. Treść jest tylko tłem, na którem poeta odmalował obraz przyrody w najpiękniejszych jej tworach i życia naszego z jego najróżnorodniejszemi objawami.

Każdy z nas nosi w duszy widoki, któremi oczy jego karmiły się od dzieciństwa, ale niekażdy piękności kraju rodzinnego zdoła odczuć w całej ich ozdobie, ale niekażdemu jest dane wszystkie wdzięki ich odgadnąć. Dar taki jest udziałem wielu poetów: jednak tylko ten z nich godzien zwać się wielkim, który jest zdolny słowem swojem i wielkich i maluczkich w krainy piękna wprowadzić i natchnąć swojem uczuciem. Tego dokonał Mickiewicz. Gdy czytamy przepiękne jego strofy, wieje na nas tęsknota do

tych pól malowanych zbożem rozmaitem
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała.

W lasach szumią nam nasze drzewa rodzinne, nad głowami rozpościera się niebo północne, — piękne dla naszego oka czy w wiatr, czy w niepogodę. I zboża, i zioła, i trawy, i drzewa, całe bogactwo przyrody we wszystkich jej przejawach poeta odtworzył swym czarodziejskim pendzlem. Wrócił ziemi rodzinnej i te ozdoby, które z biegiem czasu utraciła—wrócił jej dawne lasy i knieje, zaludnił je, ożywił. Odmalował życie rolnika, jego pracę ciężką, jak ta piosnka żniwiarek tęskna, jednostajna, — jego odpoczynek i zabawy proste. Brzęczą nam w polu kosy i sierpy, przesuwa się

oracz schylony za pługiem, zwolna ciągnionym przez woły. Nie jestże to obraz, który zrósł się z naszem sercem i stanowi z niem jedno? Życie ludzkie poeta przedstawił na wszystkich jego stopniach — od młodzieńca, który zaledwie opuścił szkolną ławę, do starca, schodzącego z pola; od pana podkomorzego, najwyższego urzędnika w powiecie, do żyda szynkarza, siedzącego w karczmie w Soplicowie. A wszystkie te postaci, czy Podkomorzy, z godnością noszący wysoki urząd, czy Sędzia, stojący na straży starych zwyczajów i starej poczciwości, czy Kwestarz, czy Wojski, czy Protazy i wszyscy, ilu ich jest, to postaci na wskroś swojskie, narodowe. Ludzie dawniejsi prości, ale mający swoj rozum, zaostrzony doświadczeniem i długą szkołą życiową; a jeżeli mniej mają książkowej nauki, to przecież niemniej poczciwości w sercu. Są zawzięci, to prawda, ale granice zachować umieją, a pewne słowa mają na nich wpływ czarodziejski. Może grzeszą łatwowiernością, ale zato podstęp, chytrość nie leżą w ich naturze. Gościnni — dotychczas zachowali święcie zasadę, że „gość w dom — Bóg w dom“. Braterskim węzłem związani, mogą się wadzić o błahostkę, — ale wspólne niebezpieczeństwo zaraz ich łączy w jeden nierozerwalny łańcuch. Dla płci nadobnej, dla kobiet — dla matek, żon, córek swoich mają wzgląd należny i szacunek. Kobiety, tak jak mężowie, odczuwają obowiązki i nie powstrzymują się od złożenia ofiary nawet z życia, gdy tego zajdzie potrzeba. Miłość żony ku mężowi, na szacunku oparta, nic nie traci na tem, gdy mężczyzna biedniejszym się staje. Jeżeli są osoby zbyt zalotne i wyrachowane w rozdzielaniu swych uczuć, to wina innego, wielkiego świata.

Pan względem sługi nie postępuje nieludzko. Za wierną pracę wynagradza nietylko pieniędzmi, ale i sercem, i ciepłem rodzinnem. Przy ognisku familijnem weterani tacy znajdują miejsce niepoślednie. W tej gromadzie niema obcych. Kto żyje razem, razem pracuje, staje się swoim; — religia nawet nie stanowi różnicy — szynkarza Jankla wszyscy poważają, bo poczciwy jest, rachuje się sumiennie, do krzywdy nikomu nie robi.

A czyż ludzie ci są bez wad i w każdym wypadku godni naśladowania? Bynajmniej. Mają oni wady sobie właściwe, ale i te strony ich charakteru, poglądów, postępowania wypływają z otoczenia, w którem wzrośli, którego są przedstawicielami — nawet te wady są ściśle narodowe. Bez tych wad obraz ich byłby niezupełny, nieprawdziwy. Lecz te wady okupują cnoty i dlatego wszystkie bez wyjątku prawie postaci są dla nas miłe, sercu naszemu bliskie.

Jako najzupełniejszy obraz życia narodu i przyrody rodzinnej, *Pan Tadeusz* nietylko zawiera „najgłębszych myśli przędzę i najpiękniejszych uczuć kwiaty“, ale stoi na straży

> Narodowego pamiątek kościoła
> Z archanielskiemi skrzydłami i głosem.

Głos ten ma w sobie siłę niespożytą, władzę tajemniczą nad duszami ludzkiemi i jest wieczny: gdy malowane dzieje niszczy płomień, gdy skarby spustoszyć mogą złodzieje, on ujdzie cało...

XIII.

W lutym roku 1834 Mickiewicz skończył *Pana Tadeusza* i odtąd już mało co pisał. Znużony cierpieniami, zapragnął stworzyć kąt i ognisko, przy któremby się mógł ogrzać. Tegoż roku w lipcu ożenił się z Celiną Szymanowską, którą, jak sobie przypominamy, poznał jeszcze w Moskwie. Nie mając żadnego majątku, a będąc zbyt dumny, żeby pomoc od kogokolwiek przyjąć, skoro się zjawiły dzieci, musiał szukać zajęcia, zapewniającego byt rodzinie. W tym celu napisał po francusku dramat, który zyskał uznanie u najwybitniejszych pisarzy, ale z różnych względów nie został wystawiony na scenie. Wogóle w owym czasie Mickiewicz zmienił swoje poglądy na zadania i cele poezji, stawiał ją tak wysoko, tak był wymagający, że z tego powodu prawie zupełnie przestał pisać.

Nastrój jego stawał się coraz więcej religijny. Sam wierzył głęboko i innych do wiary pociągał, znajdując w tem pociechę i ukojenie pośród wielu trudów, zawodów i cierpień. Zawiązał nawet w owym czasie bractwo religijne, które miało na celu uspokojenie umysłów i zjednoczenie przebywających zagranicą rodaków, szarpanych przez ciągłe spory i niesnaski. Obowiązkiem członków tego towarzystwa, noszącego nazwę Braci Zjednoczonych, było modlić się codziennie za siebie i bliźnich, przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać, przykładem swym do tego rodaków zachęcać i na drodze tej spólną siłą się utrzymywać. — Człowiek, który z taką miłością dbał o spokój wewnętrzny towarzyszy, sam nie znał chwil zwątpienia. Niepowodzenia materjalne, za-

wiedzione nadzieje zapewnienia rodzinie utrzymania pracą literacką nie mogły wytrącić go z równowagi moralnej, ani zniechęcić do starania się w inny sposób o ustalenie losu. Zasłyszawszy o posadzie profesora łaciny w Lozannie, Mickiewicz udał się do Szwajcarji, żeby poczynić starania o otrzymanie tego stanowiska. Pokonawszy wiele trudności, już był bliski celu, gdy otrzymuje wiadomość z Paryża, że żona dostała obłędu. Wraca więc i żyje wiele miesięcy w niepewności i biedzie. Dopiero po wyzdrowieniu żony mógł powrócić do Lozanny i nawiązać zerwane układy. Sława jego, jako wielkiego poety, była tak głośna, że przeszkody, wynikające z ustaw szkoły, zostały usunięte przez przyjaciół i wielbicieli genjusza. Mickiewicz przeniósł się z rodziną do Lozanny i zabrał się zaraz do uciążliwej, a nawet niemiłej sobie pracy nauczycielskiej. Wykładał literaturę łacińską, studjując na nowo to, z czem dawno nie miał do czynienia. Chociaż zarząd szkoły rychło poczynił dla jego wykładów ulgi, zmniejszając ilość obowiązkowych godzin lekcji tygodniowo, podwyższając uposażenie, przecież poeta nie czuł się dobrze. Był sam, bardziej niż kiedykolwiek, zostawiwszy przyjaciół we Francji. O tworzeniu myśleć nie mógł; zagłębiony w swą pracę nauczycielską, od czasu do czasu tylko rzucił na papier kilka wierszy, które i smutek, i tęsknotę głęboką malują:

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda i głośno zagada,
Dusza wówczas daleka, ach daleka!
Błąka się i narzeka, ach narzeka!

Poeta wszystko już przejrzał nawskroś i niema dla niego zagadek; wpośród ludzi, którzy nie

widzieli, ani widzieć lub czuć nie mogli tak, jak on, błąka się samotny i niezrozumiany:

Tylem uczuł, cierpiał tyle,
Lecz nie powrócę do domu,
Opowiadać nie mam komu...
Zamknę powieść na mogile.

. . . .

Piękne myśli, piękne słowa,
Czuję wiele, piszę wiele,
Ale dusza moja wdowa,
Z kimże piosnki te podzielę?

Tęsknoty głębokiej, nieuleczalnej nie mogły rozwiać ani przychylność i szacunek, z którym nasz poeta na każdym kroku spotykał się w Lozannie, ani też coraz lepsze widoki powodzenia materjalnego, do którego rząd lozański z zadziwiającą delikatnością się przyczyniał. Nie mogły też rozchmurzyć pooranego przedwczesnemi zmarszczkami czoła objawy uwielbienia dla wykładów jego tak ze strony uczniów, jak kolegów, profesorów i publiczności.

Mickiewicz — z naturą genjusza, powołany przez przeznaczenie na przewodnika swego narodu, na apostoła ludzkości, — nie mógł bez pogwałcenia ducha swego zamknąć się w ciasnem kole nauczania młodzieży. Wypadek zrządził, że to położenie, w którem się znalazł wskutek potrzeby zarobkowania, nie trwało długo. Zaledwie dwa lata upłynęły od objęcia przez Mickiewicza katedry w Lozannie, gdy rząd francuski postanowił w najwyższej szkole Francji, w t. zw. *Collège de France* założyć katedrę literatur słowiańskich.

Collège de France jest to szkoła wyższa, do której dostęp mają wszyscy, którzy chcą słuchać

ludzi nauki, roztrząsających z katedry najwyższe zagadnienia naukowe i literackie. Wybór padł na Mickiewicza, gdyż wielkiego poetę narodu naszego słusznie uznano za najgodniejszego do zaznajomienia z przeszłością duchową i ideami, ożywiającemi ludy słowiańskie. Mickiewicz odrazu osądził, że od tego obowiązku usunąć się nie może. Tylko względy poboczne kazały mu tę sprawę traktować ostrożnie, z wszelką oględnością. Ale skoro formalności, związane z objęciem posady, zostały w części przynajmniej usunięte, poeta pomimo odrazy, jaką żywił do Paryża, przenosi się do tego miasta, najczulej żegnany przez Szwajcarów, którzy szczerze chcieli go zatrzymać u siebie.

W Paryżu, dokąd Mickiewicz przybył w końcu roku 1840, zaczęła się dla niego niemniej ciężka praca, niż w Lozannie, tylko jeszcze więcej odpowiedzialna. Przedstawiając trudności wykładu, gdy cudzoziemiec musi przemawiać do Francuzów w ich rodowitym języku, poeta zwraca się do słuchaczów z temi słowami: „Trudności te są mi znane, za każdym ruchem myśli mojej czuję ciężar kajdan, jak wy ich brzęk słyszycie. Gdybym radził się tylko poszeptów miłości własnej, gdybym dbał tylko o swój interes artystyczny i o godność osobistą: zrzekłbym się niebezpiecznego zaszczytu przemawiania w tem gronie, bo przykro jest występować przed publicznością, kiedy się nie czuje posiadaczem tej siły, jaką daje łatwość i wdzięk wysłowienia; atoli względy bardzo ważne nakazały mi katedrę przyjąć. Wezwano mnie, żebym zabrał głos w imieniu ludów, z któremi mój naród swoją przeszłością i przyszłością ściśle jest związany; wezwano mię, żebym zabrał głos w czasie, kiedy słowo jest potęgą na-

der wielką, w mieście, które — jak ja, cudzoziemiec, powiedzieć mogę — jest stolicą słowa; nic zatem wstrzymać mnie już nie może".

Tu poeta nakreślił znaczenie, jakie ma historja i literatura słowiańska dla cywilizowanej ludzkości wogóle, wagę zagadnień, nasuwających się ludziom myślącym, gdy się zagłębiają w badanie dróg, któremi narody słowiańskie dążyły do stanu, w jakim się znajdują. W następnych lekcjach zaznajamiał słuchaczów więcej szczegółowo z życiem i twórczością ludów, tak mało znanych w Europie zachodniej; a czynił to w sposób jasny i porywający zarazem, rozświetlając swym genjuszem zagadnienia trudne, odkrywając słuchaczom nowe widnokręgi i prowadząc za sobą w dziedziny mało znane cudzoziemcom. Pisma z owych czasów dają świadectwo zachwytowi, z jakim ludzie najwybitniejsi odzywali się o wykładach naszego poety. Dla Polaków, przebywających w Paryżu, były one triumfem; z tego też powodu, a chcąc zarazem okazać wdzięczność wieszczowi, urządzili oni wspólną wieczerzę w dzień Bożego Narodzenia. Mickiewicz, znalazłszy się pośród swoich, między którymi był też Juljusz Słowacki, ożywił się nadzwyczajnie. Podczas toastów, na przemowę Słowackiego, poeta, wzruszony nastrojem, jaki panował, i pierwszą swoją lekcją w Kolegjum, odpowiedział dziwną improwizacją. Co mówił, dokładnie niewiadomo, gdyż nikt słów jego nie notował; ale, jak zapewniają liczni świadkowie, było to przemówienie niesłychanej mocy. Przemienił się na twarzy, promieniał natchnieniem, a słowa, płynące z piersi, uderzały, jak gromy, w serca słuchaczów. Wszyscy obecni odczuwali, że to chwila niezwykła, że są świadkami niewytłuma-

czonego zjawiska, a nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego co się działo, prawie tracili przytomność. Owoce tych rzadkich chwil natchnienia, zjawiającego się jak błyskawica, oświecającego wszystko wokoło, niestety, nie zostały utrwalone na piśmie, praca zaś nad wykładami w Kolegium zupełnie pochłaniała poetę, pozbawiając go możności tworzenia. W owych czasach Mickiewicz był zajęty poznawaniem zabytków literatur słowiańskich, przeglądał kurs swoich wykładów, wydawany przez słuchaczów, co było i zmudne i niewdzięczne, bo wydawcy, nie mogąc podążyć za lotem myśli wieszcza, przeinaczali jego wyrażenia, na co on zgodzić się nie mógł. Spotykały go też przykrości ze strony, z której najmniej mógł się spodziewać. Osobiste jednak przykrości nie mogły duszy poety złamać. Inne, gorsze stokroć cierpienia nie dawały mu spokoju. Wtedy nawet, gdy w życiu rodzinnem składało się pomyślniej, pisał do przyjaciela: „Moje położenie jest lepsze osobiście, gdybym mógł oziębłej patrzeć na głupstwo naszych,— ale to trudno,—i gdybym nie miał częstych smutków z domu, co niepodobna".

Do tych przykrości ogólnych przyłączyło się nieszczęście domowe. Żona jego po raz wtóry zapadła na chorobę umysłową. Za chorobą zjawił się niedostatek i nieskończone troski i kłopoty domowe, którym poeta, jak mógł, zabiegał. W wypadkach, gdy każdy inny niezaradnie załamałby ręce, Mickiewicz rozwijał właściwą mu energję, świadczącą o niespożytej sile charakteru. To też i w danym razie, zostawszy z żoną chorą i liczną rodziną bez żadnych prawie funduszów, dopiął tego, że i żonę umieścił w odpowiednim zakładzie, i opuszczonemu przez matkę drobiazgowi zapew-

nił opiekę. Żona wkrótce powróciła do zdrowia, ale przejścia bolesne głęboką wyorały brózdę w duszy poety. Od tego czasu datuje się przewrót w jego poglądach. Z wierzącego staje się gorliwym katolikiem. Nie widząc żadnej pociechy na ziemi, szuka jej w niebie, ale pojmuje to na swój sposób, bo wiarę nie martwą chce widzieć, ale czynną, objawiającą się w postępowaniu i działaniu. Idei religijnej oddaje się całą duszą i od niej spodziewa się ziszczenia nadziei, którą był już utracił. Ugruntowawszy w sobie to przekonanie, i innych chce natchnąć duchem podobnym. W tym celu rozwija usilną działalność nietylko prywatną w pośród emigrantów, ale i na katedrze, przemawiając do Słowian i Francuzów.

Niestety, zawód był zupełny. Wieszczowi, który całą siłą duszy pracował nad sprowadzeniem królestwa bożego na ziemię, nie dane było oglądać chwili, kiedy samolubstwo legnie zwalczone przez miłość i uczucie braterstwa. Namiętne wezwanie poety przebrzmiało bez echa, niosąc mu rozgoryczenie i rozczarowanie. Mało znalazło się dusz wrażliwych, które czynem chciały dowieść swego oddania się sprawie wyzwolenia ludzkości z nędzy moralnej i materjalnej. Pomimo to Mickiewicz kołata do wszystkich drzwi. Dążeniami swemi obejmuje już nie jeden naród, lecz całą Europę. Udaje się do Rzymu, zanosi instancję do papieża, przebiega Szwajcarję i miasta włoskie; głosi prawdę wszędzie, „gdzie są uszy do słuchania", lekceważąc zdrowie i siły własne, byle przyczynić się do urzeczywistnienia tego, czego pragnie jego dusza. Jak prawdziwy apostoł, nie dba, że tu i owdzie spotka się z niechęcią, że ci nawet, których los najbliżej jego osoby umieścił, nie ro-

zumieją jego intencyj. Sieje myśli w nadziei, że prędzej lub później wzejdą.

Jakby przeczuwając, że niedługi już będzie pobyt jego na ziemi, rozwija działalność niesłychanie energiczną. Naraża się rządowi francuskiemu i opuszcza wskutek tego katedrę, tracąc podstawy bytu materjalnego. Śmierć zabiera mu żonę, przyjaciół, — koło niego wytwarza się pustka wielka, zimna: a on stoi na gruzach swej przeszłości osobistej, jak olbrzym, z wiarą i nadzieją, bo jego orle oczy widzą w oddali świat lepszy.

Pod koniec życia, w czasie wojny krymskiej udaje się do Turcji, żeby tam utworzyć legjon polski. Trudy dalekiej i niewygodnej w owe czasy podróży nie mogły go odwieść od tego zamiaru.

Niestety! wkrótce po przyjeździe do Konstantynopola nagle zaniemógł. Otaczający go towarzysze nie przeczuwali nic złego. Cierpienia jednak nagle się wzmogły; sprowadzono lekarza, przybyli znajomi. Było to 26 listopada o godzinie 10 zrana. O dziewiątej wieczorem poeta już nie żył...

Umarł z przytomnością, ze smutnem wejrzeniem, nic nie mówiąc.

Dnia 30 grudnia 1855 roku z portu Top-Hana odpłynął statek, wioząc zwłoki Mickiewicza do Francji. Dopiero w roku 1890 przewieziono je do Polski, śród której dusza poety po wszystkie dni swego żywota przebywała, i złożono na Wawelu.

* *
*

Pół wieku mija od chwili, kiedy się zamknęły oczy wieszcza, kiedy przestało bić jego wielkie serce. Ileż cierpień zniosło ono, ile burz i gromów przetrwało, — zostając czyste, szlachetne i ofiarne do chwili zgonu. Co dało mu taką moc granitową, taką wytrwałość? Skąd taka siła w jednym człowieku, że, niezapomniany, głosem swoim rządzi z grobu i ukazuje drogi pokoleniom? Skąd ta wieczna młodzieńczość pieśni, tryskającej z lutni naszego Wieszcza? Miłość dała mu taką władzę cudowną:

Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec!

I idą pokolenia za pokoleniami, — a ktokolwiek odczytuje te proste księgi, które nam zostawił,—nikt nie zamyka ich bez podniesienia myśli i serca, bez tej rozkoszy duchowej, która nigdy nie zawodzi.

Ten, kto wszystkich ukochał, kto w swem sercu skupił uczucia miljonów, kto im wyśpiewał hymn o Bogu, ziemi, przyrodzie, ludziach i szczęściu powszechnem, kto najdroższe dla człowieka wspomnienia dzieciństwa, młodości, wieku dojrzałego

ścisnął — natężył i razem wyświecił —

ten godzien zwać się Wieszczem.

KONIEC.